



LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 21—595.

Redakcyja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 27 maja 1887 r.

15 maja 1887 r.

Tom XXIII.



M A J.

Rysunek F. Brzozowskiego.

Powtarzamy ciągle, że ks. Bismark jest uosobieniem krzyżackiego ducha i krzyżackiego ciała; na ducha zgoda ale ciałem t. j. fizyonomią wielce się od krzyżaków różni. W portretach rycerzy Zakonu, umieszczonych na szybach i ścianach w malborskim zamku, trudno odszukać prototypu księcia kanclerza—są i tam fizyonomie groźne, lisie, rozbójnicze, rycerskie ale bismarkowskiej niema. Bismark pomiędzy niemi wyglądałby jak zbogacony liwerant lub piwowar, a nawet w swym mundurze kirasyerskim i pikielhaubie nie dorównałby rycerzom z pod krwawego krzyża. Ale trzeba też oddać Bismarkowi sprawiedliwość, że jest straszniejszym dla nieprzyjaciela od wszystkich krzyżaków. Charakter najokrutniejszy byle jednolity może się przepalić, złamać, rozsypać w ruinę, lecz charakter naprzemiany srogi, to łagodny, to serdeczny naprawdę, to okrutny także naprawdę, jest najniebezpieczniejszym, najmniej rujnującym zdrowie; człowiek taki ma chwile równowagi i kompensaty a namiętności jego nabierają giętkości elastycznej. Zwykle ludzie najokrutniejsi rekrutują się z takich charakterów; oswajają się oni ze swemi czynami, nie znają żadnych wyrzutów sumienia, zasypiają snem sprawiedliwego. A jednak i oni mają swoje słabizny; nawet tacy ludzie jak Bismark, którego nie trapi we śnie zmora wyrzutów, mają swoje przesady, swoje zabobony. Z przesadami ułatwiają się oni od ręki, nie rozumują z niemi, nie zwyciężają ich ale poddają się im i przez to kupują sobie spokój.

Tak było pod Gravelotte; kiedy bitwa wrzała a zwycięstwo przechylało się na stronę francuzów i armią niemiecką mogło ocalić tylko nadejście korpusu księcia Fryderyka, Bismark palił cygara jedno po drugim i częstował niemi Moltkego. Skoro Moltke skończył jedno, Bismark podał mu nowe i wpatrzył się w wodza badawczym wzrokiem a równocześnie nasłuchiwał, czy korpus nie nadchodzi.

Po bitwie, która skończyła się zwycięstwem niemieckim, Bismark przyznał się, że zwycięstwo uczynił zależnym od owego drugiego cygara ofiarowanego Moltkem; był pewnym, że jeżeli Moltke cygaro wypali całe a korpus nie nadejdzie—to francuzi wygrają. Kiedy cygaro wypalone było już w trzech czwartych częściach — Bismark pomyślał o samobójstwie; nagle usłyszał huk artylerii Fritza, krzyknął: Nasi! i rzekł: — Cygaro zwycięstwo nam wywróżyło.

Do tej słabości przyznał się człowiek, który o sztuce rządzenia światem powiedział te słowa: „Czém chcesz podbijaj abyś tylko podbił; nie możesz dać rady pocałunkiem—to kłósz; nie możesz skrepić słomianem powrosem—to ukuj pęta żelazne; nie możesz ujarzmić konstytucją—to użyj ognia i miecza. Polityka to sztuka tak praktyczna jak heblowanie desek lub warzenie piwa; nie przywiązuj zbyt wagi ani do formy, ani do słów, ani do zasad; pamiętaj, że słowa to nie żołnierze a żołnierze to nie zwycięstwo — wszystko zależy od tego, czy potrafiśz ze szczerości zrobić maskę dla celów swoich.”

Stary to sposób a jednak zawsze ma powodzenie; ludzie zawsze są ludźmi, zawsze dadzą się łowić na machiawelskie sztuczki jak wróble na plewy.

DZIECKO KUPIONE.

POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKĘ „LORDA ERLISTOUN”

przekład z angielskiego J. S.

(Dalszy ciąg.)

— Co się stało? — zapytała, skoro Artur poszedł się położyć.

Pan Trevena wyjął z kieszeni list i podał go żonie.

— Wczoraj jeszcze przyszedł, ale nie chciałem odpisywać bez ciebie.

Był to list od Halberta, któremu los zsyłał sposobność pracy i zarobku. Dawny przyjaciel rodziny Trevenów, który nie znał jego opinii, ofiarował mu korzystne miejsce w plantacyach herbaty na wyspie Ceylon. Załączony list nie pozwalał wątpić o dobrej wierze starego przyjaciela. Halbert przyciśnięty niedostatkiem, przyjął to miejsce i błagał brata, żeby po raz ostatni przyszedł mu z pomocą: chodziło o zapłacenie przejazdu na okręcie i środki do osiedlenia się w obcym kraju.

— Kto wie, Halbert może się tam poprawi i weźmie się na dobre do pracy?—mówił profesor, patrząc błagalnie na żonę—może nawet zrobi majątek.

— Bardzo być może — odrzekła Zuzanna, nie śmiąc tamować wspaniałomyślnych porывów tej zacnej duszy, tak wiernej wspomnieniom braterskiej miłości.

Przejazd na okręcie został więc opłacony i spora sumka przeszła na imię Halberta Trevena. W odpowiedzi przyszedł list dziękczynny, w którym kapitan żegnał brata i bratową i, tłumacząc się, że krótki czas nie pozwala mu być w Tawton Magua, oddawał im córkę w opiekę.

— Biedny Halbert! może go już nigdy nie zobaczę? Mówią, że klimat w Ceylon jest bardzo niezdrowy. Gdyby tak można pożegnać go jeszcze w Southamton?

Tyle było smutku i żalu w głosie profesora, że Zuzanna nie miała serca sprzeciwić się i chociaż podróż do Southamton prócz utrudzenia, narażała ich jeszcze na wydatki, ani myślała odwozić męża od tego zamiaru. Wszystkie ich oszczędności poszły do Halberta, a prócz tego trzeba było jeszcze płacić za Nellę. Artur zato bardzo mało teraz potrzebował; Zuzanna z dumą mówiła sobie, że nauka syna nie ich kosztować nie będzie.

— Jeżeli chcesz, Auguście, to możemy jutro wyjechać—rzekła do męża, nie chcąc puścić go samego.

Profesor niezmiernie się ucieszył z jej zamiaru i razem udali się do Southamton. Zastali tam już Halberta, który wyglądał raczej na młodzieńca puszczonego się w świat po złote runo niż na osieroczonego wdowca, który ciężką pracą na obczyźnie zmuszony był na chleb zarabiać. Na rozpromienionej jego twarzy nie było ani żalu, ani smutku, rozprawił bardzo wesoło i z wielkim apetytem zjadł obiad w towarzystwie braterstwa.

— Jak się ma Nella? — zapytał, kiedy profesor oddalił się dla zapłacenia rachunku i, nie czekając odpowiedzi, dodał z niechęcią—czy przywiozłaś ten pierścionek, o którym wspominałem? Jest to przedmiot małej wartości, ale drogi dla mnie jako pamiątka po mojej nieboszczce żonie.

Pogarda i oburzenie na chwilę zatamowały głos Zuzannie.

— Wiem dobrze, ile jest wart ten brylant, bo kazałam go oszacować u jubilera—rzekła, patrząc mu w oczy—jest to własność Nelli, oddam go jej tylko, skoro będzie pełnoletnią.

— Dyabli nadali! — gniewnie mruknął kapitan, mierząc roziskrzonym wzrokiem tę szczupłą, cichą kobietę, której nie mogły wzruszyć ani proźby, ani groźby. Była to jedyna istota, co mu stawiała opór; Halbert wiedział, że walka z nią była niemożliwą i, czując się zwyciężonym, nie wspominał już o pierścionku.

Kiedy nadeszła chwila rozstania, zwrócił się do braterstwa z najmielszym uśmiechem.

— Jeszcze raz dziękuję ci, Auguście, żeś przyjechał mię pożegnać. Uściskajcie Nellę odemnie. Jestem o nią spokojny, bo zostawiam ją pod opieką najlepszego stryja i najprzystojniejszego stryjenki—dodał z szyderskim nieco ukłonem.

Bracia po raz ostatni uściśli sobie ręce i Halbert lekkim krokiem wszedł na pokład, kłaniając im się z wdziękiem. Kiedy Zuzanna odwróciła się do męża, ujrzała twarz jego zalaną łzami.

W kilka dni później dzienniki opisywały tragiczny wypadek na morzu. Parowiec płynący do Indji uderzył wśród mgły o niemiecki okręt wiozący emigrantów do Ameryki; ten ostatni zatonął, ale część podróżnych zdołała się uratować, dzięki energii i poświęceniu załogi parowca i pasażerów. Jeden szczególnie człowiek niezwykłą odznaczył się gorliwością w ratowaniu rozbitków, ale wskutek chybnienia się statku wpadł w morze i utonął; nazwisko jego było: Halbert Trevena.

Wszystko więc się skończyło. Bohaterska śmierć kapitana zmasakrała dawne jego grzechy i winy, aureolą poświęcenia opromieniając złe imię. Wszystkie dzienniki odzywały się o nim z czcią i uwielbieniem, a do profesora wciąż od znajomych i obcych nadchodziły listy pełne żalu i wdzięczności.

Zuzanna pozbiierała je wszystkie dla Nelli i posłała panie Grogan z prośbą o zachowanie ich dla sieroty. Bohaterski zgon ojca powinien być zatrzeć w sercu córki wspomnienie jego błędów, a zostawić w nim tylko uczucie żalu i szacunku.

VI.

Miło jest patrzeć na dwoje zakochanych, którym błyska różowa jutrzienka szczęścia, a życie zda się jednym pasmem złotych snów i marzeń. Piękny jest widok młodych małżonków opromienionych słońcem miłości i nadziei, z ufnością patrzących w przyszłość pełną najśladźszych obietnic. Ale najmiłszym i najpiękniejszym jest obraz podeszłej pary, która w zgodzie i miłości dożywa dni swoich. To jakby pogodny zachód słońca, cichy a jasny, ostatnim blaskiem zorzy rozświecony; przeszły już burze, ziściły się nadzieje i dwoje starców pochyłonych wiekiem, razem zdąża ku mogile. Dla nich przyszłość już nie istnieje, teraźniejszość jest tylko chwilą, a przeszłość źródłem najmiłszych wspomnień w których żyją oboje.

Takim przykładem szczęśliwej pary niemłodych małżonków byli państwo Trevena; tam wszystko było wspólne: myśli, troski i uczucia. Miłość ich zamiast ostygnać, wzrastała jeszcze z latami, a kiedy śmierć brata boleśnie dotknęła kochające serce Augusta, a odjazd Artura do Winchester osierocił Zuzannę, związek ich stał się jeszcze tkliwszym, jeszcze ściślej niż dawniej.

Chłopiec pisywał często, a Zuzanna ze śmiechem i łzami odczytywała jego listy tętnące życiem i wesołością, listy w których było potrochu o wszystkiemu co zajmowało młodego chłopca, a więc o greczyźnie, o muzyce, o kolegach i profesorach, o krokcie i matematyce, a wszystko szpikowane technicznymi wyrażeniami szkolnymi, niezrozumiałymi dla pani Trevena. Mąż musiał ję tłumaczyć i z rozkoszą przywodził wspomnienia dawnych czasów, kiedy sam był uczniem w Winchester.

Rok tak upłynął bez zmiany i na wakacje przyjechał Artur do domu. Matka znalazła go bardzo zmienionym: urósł i zmeźniał, a nawet wyładniał jeszcze, pomimo ostrzyżonych krótko włosów i rąk pokaleczonych scyzorykiem. Kiedy pierwszej niedzieli po przyjeździe poszedł z Zuzanną do kościoła, wszyscy oglądali się na niego, a matki zazdrościły pani Trevena takiego syna.

Wkrótce potem przybyła też Nella na wakacje, zawsze równie cicha, spokojna i nieładna, zwłaszcza w porównaniu z Arturem. Chłopcy w tym wieku nie zwracają uwagi na małe dziewczynki; młody student choć dobrym był dla niej, wołał jednak bawić się z rówieśnikami, grać w krokieta, pływać i wiosłować niż przebywać w towarzystwie Nelli, którą uważał za dziecko. Dziewczynka jednak tak silnie odczuła jego obojętność, że pani Trevena poważnie zastanawiała się nad tem, czy na przyszłe wakacje brać ją do Tawton Magna.

Los dopomógł ję w tym względzie. Panna Grogan przy samym końcu roku szkolnego silnie zachorowała i Nella sama nie chciała ję opuścić, a pielęgnowała swoją opiekunkę z troskliwością i poświęceniem zadziwiającem w takim dziecku.

— Nella zawsze dobrą była dziewczką — z rozrzewnieniem rzekła pani Trevena do męża, niemniej rada była mieć dla siebie samą tylko swego ukochanego chłopca.

A piękny i silny był to chłopiec, teraz już prawie młodzieniec. W szesnastym roku miał blisko sześć stóp wysokości, zbudowany był jak Herkules, a gibki przytem, zręczny i wysmukły, aż serce matczyne rosło, kiedy patrzyła na niego.

Po kim on odziedziczył tę bujną, krzepką naturę, ten nadmiar sił i zdrowia, te bogate zdolności i szlachetne serce, wreszcie te śliczne regularne rysy i czoło tak dumne i jasne, pysznie rozwinięte pod kędziorami złotych włosów? Zuzanna nieraz zadawała sobie to pytanie, na które żadnej nie znajdowała odpowiedzi.

— Czy koledzy zawsze nazywają cię Trevena? — zagadnęła go raz z niepokojem — czy... o nic cię nie pytają?

Artur się zarumienił; każda wzmianka o jego pochodzeniu musiała urazić go boleśnie.

— Z początku trochę mi dokuczali, mateczko, jeden nawet nazwał mię Nemo. Wybiłem go tak, że długo musiał to popamiętać, a potem wszystko opowiedziałem kolegom, tak jak ty mi radziłaś. Odtąd nie usłyszałem od nich jednego złego słowa.

Od pierwszego niemal kroku na świecie Artur musiał więc staczać walki, bronić się przeciw szyderstwu i stać na straży własnej godności; że zwycięży w końcu i mocą własnej zasługi, mocą wrodzonej wyższości wyniesie się nad innych, o tem na chwilę nie wątpiła matka, ani on także.

— Musiał to być bardzo niegodziwy chłopiec, kiedy mógł ci dokuczać o to, czemu nie jesteś winien. Niezawsze wysoki ród i znakomite imię przynoszą szczęście, dowodem ten biedny sir Eustachy Damerel, który zmarł idyotą — mówiła pani Trevena — czy wiesz, że jego daleki krewny, co po nim odziedziczył tytuł i majątek, wrócił nakoniec z zagranicy i przyjechał już do Tawton Abbas. Zobaczmy ich pewno w tę niedzielę.

Chciała odwrócić myśl chłopca od przykrego przedmiotu, ale pod tym względem obawa ję była zbyt uczuciowa; Arturowi życie uśmiechało się weselem i nadzieją, mało więc troszczył się o swoją przeszłość i pochodzenie.

— Jak to dobrze, że ktoś zamieszka w tym pięknym pałacu, który przez lat tyle stał pustkami — rzekł z żywym zajęciem — czy nie słyszałaś czego o nowym dziedzicu, mateczko? Stary czy młody, kawaler czy żonaty, z rodziną, czy sam jeden?

— Sir Karol Damerel jest żonaty, ale oboje są niemłodzi i zdaje się, że wcale nie mają dzieci. Podobno stracili kilkoro.

Artur oświadczył, że „stare dziady” nie go nie obchodziły, zwłaszcza kiedy nie mają synów w jego wieku; w niedzielę załedwie spojrział na dziedziców Tawton Abbas, siedzących we wspólniej rzeźbionej ławce Damerelów. Pod nimi leżały prochy naddziadów, w koło nich wznosiły się marmurowe grobowce Damerelów, których sławny ród miał na nich właśnie wygasnąć. Sir Karol był ostatnim tego nazwiska, nie miał ani syna, ani córki, nikogo, komu mógłby przekazać swoje piękne dziedzictwo i znakomite imię, nie dziwnego więc, że łagodne, arystokratyczne jego oblicze nosiło wyraz nieuleczonego smutku, a w zapadłych oczach malowała się nuda i znużenie. Mógł liczyć sześćdziesiąt kilka lat, ale tak był wyniszczony chorobą, że z trudnością włókł się o kiju. Zato jego żona wyglądała jeszcze pięknie i młodo, a strojna była podług ostatniej mody. Ktoś lepiej znający świat i jego zwyczaje zauważyłby odrazu, że jak na wiek lady Damerel, włosy ję były zbyt ciemne i bujne, a cera nie naturalnie białą i różową, ale dobrodusznym mieszkańcy Tawton Magna nic nie podejrzewali i mówili tylko, że musi być znacznie młodszą od męża.

— Biedny sir Karol! — zawołał Artur, kiedy wracali do domu — toż on o własnej sile nie mógł wsiąść do powozu. Za nic w świecie nie chciałbym być na jego miejscu.

— Ani ja na miejscu lady Damerel — dodała Zuzanna — biedna kobieta, jakże musi być nieszczęśliwą! Straciła wszystkie dzieci. Jak ona musiała mi zazdrościć mego pięknego, dzielnego syna — pomyślała, ubolewając serdecznie nad dolą tęg wielkiej lady, pozbawionej najwyższego szczęścia, jakim są dzieci dla matki.

— Lady Damerel jest piękna, ale bardzo niemila przytem — zauważył Artur — nigdy nie widziałem twarzy zimniejszej i więcej odpychającej.

Oświadczył stanowczo, że nie będzie matce towarzyszył do Tawton Abbas, żeby złożyć obowiązkową wizytę Damerelom, nad którymi Zuzanna tak się litowała. Pan Trevena w końcu przerwał ję z uśmiechem:

— Niepotrzebnie ubolewasz nad losem lady Damerel, moja droga, ona wcale nie czuje się nieszczęśliwą. Słyszałem, że bardzo lubi zabawę i towarzystwo, jest utalentowana i światowa. Dotąd ty byłaś tutaj pierwszą, ale teraz ta wielka pani zaćmi zupełnie biedną profesorową.

— Z pewnością nie zaćmi! — żywo zawołał Artur — nie znam żadnej lady, któraby była warta tyle co moja mateczka — dodał z dumą, przysuwając dla niej najwygodniejszy fotel,

Służba miała zawsze wieczór niedzielny wolny, Artur więc usługiwał matce przy wieczerzy, okazując jej tyle czulej troskliwości, że pani Trevena lzy rozrzewnienia stawały w oczach. Jakaż to była rozkosz być pieszczoną i kochaną przez tego drogiego chłopca, który zgadywał jej życzenia, myślał wciąż o jej wygodzie i przyjemności, na rękach ją niemal nosił.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Przesilenie ministeryalne we Francji. — P. Freycinet minister. — Jeneral Boulanger. — Agitacja za nim. — Zręczne odwołanie z jego strony. — Ruchy anarchistyczne między górnikami w Belgii. — Insynuacje nie mieckie. — Przemówienie Tiszy w parlamencie węgierskim.

Czy jeneral Boulanger zostanie panem położenia we Francji, a tém samém poniekąd i położenia ogólnego w Europie,

oto pytanie, które w tej chwili trzyma w nateżeniu uwagę świata politycznego.

Kwestyą tę na ostrzu noża postawili oportuniści, którzy właśnie chcą usunąć od władzy Boulangera i obalili ministeryum Gobleta. Za powód wzięto budżet a komisya budżetowa, mimo zaprowadzonych już przez sam rząd oszczędności, zażądała jeszcze nowych. Goblet oświadczył, że w zasadzie rząd nie ma nic przeciw temu, jednak równowagi w budżecie, która się psuła długimi latami, niepodobna przywrócić w jednym roku doraźnymi oszczędnościami; pomimo to gotów jest porozumieć się jeszcze z komisją. Wszystko to nie pomogło, postanowienie widocznie z góry było powzięte; izba, która niedawno temu składała dowody wielkiej ufności do rządu, 275 głosami przeciw 257 odrzuciła wniosek dep. Delaforye, żądający wyrażenia votum zaufania, a następnie znacznieszą o wiele większością odrzuciła i sam budżet.

Goblet podał się do dymisji. Prezydent Grévy zawezwał naprzód Freycinet'a, który jest zapasowym surogatem prezesa ministrów, gotowym ciągle i każdej chwili zająć wakujące miejsce. Francuzi z całą słusnością mogą obecnie wołać: *Freycinet est mort, vive Freycinet!*

Freycinet w pierwszej chwili przyjął na siebie mandat utworzenia nowego gabinetu, ale niebawem cofnął się, ujrawszy, że z Boulangerem sprawa nie taka łatwa. Bądźco bądź jeneral umiał sobie zjednać popularność w szerokich sferach, a radykałiści stanowczo są za nim. W Paryżu silna rozwinęła się agitacja około petycji do prezydenta republiki, aby Boulangera utrzymał na stanowisku; rady municypalne Lyonu, Rennes i t. p., powzięły także same rezolucje; agitacja szerzy się na całej prowincji, zyskując coraz więcej zwolenników. W przeszłą niedzielę, przy wyborach uzupełniających, wyborcy paryzcy zrobili poważną manifestacją na rzecz Boulangera, dawszy mu 38,000 głosów, lubo on kandydatury swojej nie stawiał.

Z takimi objawami opinii publicznej liczyć się trzeba, to też nie chcą podjąć się misji złożenia nowego ministeryum — bez Boulangera — ani kilkakrotnie wzywany Freycinet, ani Ferry, ani wreszcie Rouvier, któremu Grévy nie bez racy tłumaczył, że ponieważ jako prezes komisji budżetowej był pierwszym sprawcą upadku gabinetu Gobleta, cięży przeto na nim poniekąd obowiązek utworzenia nowego.

Przesilenie więc przeciąga się, niepokojąc Niemców, którzy naturalnie do obrotu tej sprawy wielką przywiązują wagę, a to tém więcej, że Boulanger, któremu conajmniej wielkiego sprytu odmówić niepodobna, zamieścił właśnie w dziennikach publiczne zaprzeczenie obiegującej pogłosce, iż kilku deputowanych usiłowało wpłynąć na niego, aby zaniechał próbną mobilizacji jednego korpusu armii. Tém rzekomym odwołaniem

może nieistniejącej wieści, upewnił z jednej strony zręcznie przyjaciół swoich o niezmienności swoich postanowień, a z drugiej dał Niemcom *ad intende*.

Belgia stała się znów teatrem anarchistycznego, z Francji prawdopodobnie importowanego ruchu między robotnikami; ta sama Belgia, której Europa zazdrościła pomyślności, liberalnych instytucyj, spokoju, bogactwa, słowem szczęścia wszelakiego.

Bezrobocie szerzy się głównie w okręgach górniczych kopalń węgla, podsypane przez znanego socjalistę Defuisseaux. Strejkujących robotników obliczają już na 20,000; są oni uzbrojeni i zaopatrzeni w znaczne masy dynamitu, którym już kilka razy manipulować próbowali, na szczęście z niewielką dotąd w ludziach stratą; przychodziło też już do krwawych starć z wojskiem. Rząd energicznie przedsięwziął środki celem pohamowania tego ruchu, ale położenie staje się z każdym niemal dniem drażliwszem i niebezpieczniejszem, mianowicie dlatego, że się nim zaczyna już interesować „Nord. allg. Zeitung”, nadając mu charakter niebezpieczeństwa międzynarodowego, które też interwencją postronną zażegnane być by powinno. Gdyby strejkisci belgijscy mieli choć cokolwiek zastanowienia i patriotyzmu, jakże skwapliwie podziękowaliby kanclerzowi za nieproszone pośrednictwo i ułożyli się czempredzję z pracodawcami swymi, byle tylko nie trudzić niemieckich swoich dobrodziejów.

Polemikę o Bośnię i Hercegowinę zakończył prawdopodobnie prezes ministrów węgierskich, Tisza, przemówieniem w parlamencie węgierskim, w odpowiedzi na interpelację Iraniego. Tisza usiłował przedstawić okupację Bośni i Hercegowiny, jako hamulec na dążenia Rossyi, położony z mocy mandatu kongresu berlińskiego. W ogóle przemówienie bardzo chłodno wyglądało w stosunku do Rossyi, nie objawiając żadnej urazy za napaści organu ks. Bismarka. Zdaje się, że role naprzód były ułożone.



618) ODPOWIEDZ na pytanie: Życie nasze w jakiej zależności jest od mózgu?

Zdarza się czasem, że człowiek najzdrowszy napozór, pada nagle z krzykiem lub jękiem wśród zajęcia, i nim obecni pospieszili z pomocą, już nie żyje; czasem nie umiera lecz pozostaje bezprzytomnym. Ale jaka okropna zmiana w nim zaszła! Wraca do siebie prawie obłąkany: język mu ościężał, mowi niewyraźnie, twarz się wykrzywiła, połowa ciała sparaliżowana; ręka i noga bezwładna. Kwitnący niedawno, pełen sił i zdolności człowiek staje się istotą zlamaną, bezradną, obudzającą politowanie.

Cóż go przeistoczyło tak nagle? Drobnie naczynko krwiste w mózgu lub w jego osłonie pękło, krew się wylała i nacisk jej sprawił to spustoszenie.

Badania fizyologiczne robione na żywych zwierzętach przekonały, że nie wszystkie okolice mózgu posiadają jednakową ważność dla jego funkcji i że obrażenia pewnych części mózgu pociągają za sobą charakterystyczne zaburzenia.

Pozbawione wielkiego mózgu niższe zwierzę kręgowce traci możność wykonywania ruchów dowolnych i tych które są następstwem wyobrażeń zmysłowych, może jednak wykonywać ruchy mechaniczne, zależne od dolnych części mózgowych i mleczu, jak chód, skok, lot i t. p. Żaba, której wyjęto wielki mózg, siedzi ze stoicznym spokojem na jednym miejscu i ani hałasem, ani straszaniem wybić jej z nieruchomości nie można. Uderzana zaś lub kłota, robić będzie odpowiednie ruchy odporne, poczołga się lub odskoczy i znów stanie się nieruchomą. Pozbawiony wielkiego mózgu gołąb siedzieć będzie spokojnie, z głową pomiędzy skrzydłami, i ani zbliżający się pies lub kot, albo porzucony groch nie skłonią go do zmiany miejsca.

Z podobnych prób okazuje się, że wielki mózg jest siedliskiem wszelkiej działalności umysłowej.

W wyższych gatunkach ssących, usunięcie pewnej części wielkiego mózgu pociąga za sobą zawsze sparaliżowanie pewnego zmysłu. Jeżeli wytniemy psu na obu połowach część kory wielkiego mózgu zwaną sferą wzrokową, to zwierzę oślepie, lecz inne zmysły pozostaną nietknięte. W podobny sposób wycinając zwierzęciu część kory mózgowej, zwane sferą słuchową lub czuciową, pozabawie je możemy słuchu, czucia, wrażliwości ciała na temperaturę i t. p.

Jeżeli nie naruszając sfery wzrokowej lub słuchowej, wytniemy pewną część z tylniej półkuli mózgowej, to zwierzę słyszeć będzie i widzieć lecz utraci pojęcie tego co widziało i słyszało. Wylupiając oczy ciekawie nie wie co znaczą otaczające go przedmioty: nie zwraca uwagi na podaną mu miskę z mięsem, nie lęka się batoga, nie raduje widokiem ulubionego pana; na każdy szmer strzyże uszami, lecz nie rozumie jego znaczenia i nie ruszy się jak dawniej na głos lub gwizdanie.

I zdolność mówienia mieści się w pewnych, ściśle oznaczonych okolicach kory mózgowej; w razie obrażenia ich, człowiek którego przyrządy głosowe są zupełnie normalne, nie zdolny jest odmalować wyrazem myśli swych — słowa wychodzą z ust jego niewyraźnie, lub brak mu odpowiedniego wyrazu dla danego przedmiotu.

W mózgu wreszcie ułożone są centra przeróżnych przyrządów ruchów dowolnych, utrzymania i zachowania równowagi ciała, regulowania ruchów oddechowych, sercowych i tylu innych.

Dowiedziona jest rzeczą, że sposób życia usposabia w wysokim stopniu do chorób mających źródło swe w mózgu. Osoby żyjące niewstrzeżliwie, nie zachowujące miary w jedzeniu i picu, obdarzone do tego dobrą tuszą, w najczęstszych razach padają ofiarą paraliżu mózgu. Nie bez pewnego wpływu jest i zajęcie; kto zmuszony jest używać dużo alkoholu, lub prowadzić tryb życia nieregularny, kto pracuje nadmiernie umysłowo, lub żyje w odmęcie wielkich wstrząśnień nerwowych, nad tego głową wisi również Damoklesowy miecz paraliżu. Silne wzburzenie namiętne, uniesienie, ekscyta w jedzeniu lub w picu, niezwykle napięcie mięśni, wywołać mogą w jednej chwili katastrofę, kończącą się śmiercią lub niedołęztwem fizycznym i umysłowym.

619) PYTANIE: Na czym polega sztuka zwana „brzuchomówstwem”?

Ze skarbca prawd. Samo rozumowanie, choćby najgenialniejsze, tylko na chwilę potrafi pokierować wypadkami; prędko ono musi ustąpić przed doświadczeniem.

R E B U S.



Rebus z N-ru 20. Przyjaciele winni sobie mówić prawdę.

Trzydziestoletni doktor wygląda znacznie młodziej.

Pani: — Pan taki młody i już jesteś doktorem?

Doktor, kłaniając się z miną skromną: — Zajmuję się głównie leczeniem niemowląt.

— Jaka u was największa kara za dwużeństwo? — pytało pewnego dowiecownika z Nowego Yorku.

— U nas jak wszędzie: dwie teściowe.

— Jakież ze mnie osi!l

— Raz prawdę powiedziałeś.

— Jak śmiesz mówić coś podobnego?

— Wszakże to twoje słowa.

— Powiedziałem to, nie myśląc.

— A ja myślałem to, mówiąc.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Usunąć gwałtowny ból zębów. Kawałek waty nasącza się rozcynem w równych częściach kamfory, chloralu i piątej części kokainy. Wata, włożona w wydrążenie zepsutego zęba, usuwa ból natychmiast. Chloral i kokainę apteki wydają tylko za receptę; obchodzić się z nimi trzeba nadzwyczaj ostrożnie, właściwa dorażna leczy — przesadzona zabija.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

I ubiegły tydzień przedstawia dość uśmiechniętą na rynkach zbożowych fizyognomię; dążność zwykła utrzymała się w ogólności. W Anglii na podtrzymanie usposobienia wpływała niepewność co do szkód zrzadzonych przez deszcze i śniegi w oziminach. We Francji panowała również tendencja zwykła; popyt ożywiony. W Niemczech zapotrzebowania znaczne; w Austrii tylko i na Węgrzech nadzieje świetnych urodzajów wpływają na ceny ujemnie. W Gdańsku ruch niewielki, już to z powodu dość szczupłych dowozów, już to z powodu cen, które się wydają zawysokimi, zarówno dla Anglii, jak dla Niemiec. Na rosyjskie zboże popyt mały, w skutku wygórowanych cen, jakich żądają jego posiadacze.

Uspokojone nieco giełdy, pomyślały o podniesieniu wszelakich wartości, a jednymi z najbardziej cieszących się względami giełdy berlińskiej były wartości rosyjskie. To też ruble z kursu 181, w którym stały w dniu 17 b. m. podniosły się w dniach 21 i 22 na 183.75; wprawdzie d. 23 spadły nagle na 183.10, ale zaraz nazajutrz stanęły znowu na 183.70.

Warszawa, d. 24 maja 1887 r. 5/10 Listy Zast. (za rs. 100) 101.70. — Listy Zast. ser. II lit. A. 101.70. — Listy Zast. ser. III lit. A. 101.70. — Listy Zast. M. W. I ser. 100. — Listy Zast. M. W. II ser. 99.40. — Listy Zast. M. W. III ser. 98.35. — Listy likwidacyjne Król. Pol. 93.75. — Marka niem. kop. 54; zł. r. k. 80; frank k. 42; półimperyal rs. 9 k. 30; wartość rubla w złocie k. 52.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 8 k. 10. — Żyto rs. 4 k. 95. — Jęczmień rs. 4 k. 20. — Owies rs. 3. — Groch rs. 4 k. 65.

— na stacyi Praga. Za pud. Pszenica rs. 1 k. 30. — Żyto k. 85. — Jęczmień k. 86. — Owies k. 80. — Groch k. 85. — Gryka k. 80.



Koszyki. (P. S. W. z nad Warty.) Już od lat kilku kucharki i przekupnie wiedeńscy noszą w koszykach galicyjskich włoszczyznę i towary; teraz większy zaszczyt spotkał koszyki wyrabiane w szkole jarosławskiej, ponieważ zażądano ich do Ameryki i Australii. Pomimo, że droga tak daleka, towar opłaca się doskonale, zwłaszcza, że ci co z robienia koszyków mają zarobek, dotąd dużo czasu marnowali w próżniactwie. Szkoła w Jarosławiu daje zajęcie stałe 31 robotnikom i kształci 48 uczniów. Lud rusiński, który pomawiają o nałogowe lenistwo, garnie się do pracy jeśli na niej zaraz coś zarobić może; lecz nie kwapi się do służby u arendarza, wiedząc, że za nią nie dostanie a tylko posiadłość swoje obciążą nowym długiem żydowskim. Komitet czuwający nad rozwojem szkoły, gorliwie spełnia swe zadanie, umie on wyszukiwać zdolną młodzież, umie także prowadzić handel koszykami po całym świecie, bez uciekania się o pomoc do kosztownego pośrednictwa faktorów.

Przywiązanie psa do dziecka. (P. S. Z. w Pilawie.) Wierzmy z trudnością, żeby pies mógł dla dziecka zbierać kwiatki i znosić mu je do kołyski, ale sprzeczać się nie będziemy mając liczne dowody, że pies poczuwając swoją nieraz człowieka zawstydzą. Wiarogodni badacze świata zwierzęcego wspominają o psie, który zawsze targał za suknią matkę chorego dziecięcia, kiedy już było czas dać lekarstwo.

Inny pies pilnował dójki w oborze, a jak tylko spostrzegł, że doila nie tę krowę, której mleko było przeznaczone dla paniecia — przyczał się w pokoju dziecinny i szklankę z mlekiem wywraçał lub szczekaniem gwałtownym ostrzegał, że się coś złego stało.

W pewnym dworze, we Francji, dziecko gdzieś zgineło, znaleziono je nareszcie w sąsiednim lesie w gęszczu leszczynowym; dziecko najspokojniej zjadło sobie orzechy, które w kapeluszu nazrywało z niższych gałęzi.

Zadziwiło wszystkich, jakim sposobem dziecko mogło zębami swemi rozłupywać orzechy, zatwardo nawet na zęby dojrzałe; otóż podpatrzono, że pies był kuchmistrem.

Dziecko wkładało mu w pysk orzech, pies kruszył łupinę lecz tak delikatnie, że jądro nie wylatywało ani się miażdżyło; potem dziecko łupinę mogło łatwo palcami rozebrać i odrzucić. Pies orzechy w ten sposób przygotowane kładł na rękę dziecka.

Do tej pracy chciało psa zaprząć dworze, lecz nikogo nie słuchał a zmuszony wziąć orzech na zęby warczał; tylko dziecku służył zawsze.

Post-scriptum.

Kościół na Pradze. (P. Z. Mur., Miodowa.) Pan wątpieł ale my nie; ofiary na kościół prazki płyną b. obficie jak na te ciężkie czasy, prężanie pojmują swój obowiązek pobożnego pobożnego dzieła. Wzorowy przykład dali urzędnicy koleji Terespolskiej, którzy złożyli na ten cel przeszło rs. 500. To groź wówi a tak czcigodny jak ofiara pracowników w fabryce stali, rs. 1,000, których zarobki ledwie wystarczają na najskromniejsze życie. Ofiary suto im się wynagrodzą — krzyż na świątyni dodawać będzie siły duchowej, zdwoy uroczyste rozwesela serce. Nie lękaj się pan o szpital — i on nie dozna biedy, i o nim ludzie nie zapomną; dadzą na jedno i drugie nie mówiąc, nie tak jak pan, który lamentujesz nad przyszłością kościoła i szpitala a ani jednemu ani drugiemu niczem nie dopomogłeś. — **Podatek od koni.** (P. karcierzowi.) Wynosi w Warszawie rs. 6 od jednego konia. Prowincjonalne konie są wolne od tej opłaty. Projekt pański, aby zamiast podatku od koni opodatkować papugi, kanarki, koty i inne stworzenia służące do przyjemności, zadaleko sięga... bo aż do rybek złotych, pluskających się w pokojowych basenach. Podatek na takie drobiazgi łatwo ustanowić, ale gdzie znaleźć tak sprytnych kontrolerów, którzyby wysiedlili papugę lub kanarkę lub porachowali rybki złote? Musieliby się na palcach skradać i wpadać do pomieszczenia, kiedy nikogo w nim niema. A może sz. projektowiec podjąłby się tego urzędu? — **Podzięk.** (Od p. Z. Lum.) Z przyjemnością spełnia życzenie pańskie, przesyłając p. Kucharczowskiemu, inżynierowi, podziękowanie od młodzieży za upomnienie się na posiedzeniu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu o czystości mowy polskiej, a mianowicie o nazywanie rur *steingutowych* — rurami kamionkowymi. Członkowie Towarzystwa a nawet p. prezes sekcji, lekceważąc sobie uwagę p. K., posługiwali się w dalszych rozprawach niemieckim wyrazem „Nie przypuszczamy — słowa p. Z. L. — aby panowie *steingutowiści* kierowali się fałszywą ambicją, byłoby to zawile i zabrzędkie dzieciństwo.” — **Czytelniczce w Białym Podlaskiej.** Najskrupulatniejszym bibliografem J. I. Kraszewskiego jest Estreicher; on jeden mógłby odpowiedzieć na wszystkie pytania nam nadesłane. Kraszewskiego dzieła drukowane wynoszą 600 tomów, w których jest 115,525 stronice, czyli 147,872,000 liter. Listy, artykuły ulotne i t. p. zajęłyby tomów 50, a zatem cała ilość liter napisanych przez Kraszewskiego wyniosłaby 160,000,000. Pisał przeciętnie 70 liter na minutę, czyli przez lat 50 pisał dziennie 10,666 liter, na co potrzebował 2 1/2 godziny dzień w dzień przez całe życie. A gdzie podróże, studia, czytanie, odpisywanie na listy, rysowanie, muzyka?... Działalność niepojęta! — **Wszystkich,** którzy nadesłali wiersze na część J. I. Kraszewskiego przepraszamy, że z ich pracy korzystać nie będziemy; każdy z czytelników zabrał nad tą wielką stratą, pozostawiając wypowiedzenie żalu tym, których narzędziem pracy jest pióro lub ołówek. Zrywając się do lotu dopiero na dane hasło, to ochota zmarnowana — skrzydła na poczekaniu przypięte na parnas nie doniosą. Między nadesłanymi wierszami są i utwory dobre ale nie odpowiadające wielkości straty; lepiej pocichu zasadzić kwiatek lub drzewko na intencję naszego Nestora, a zostanie pamiątka dla następnych pokoleń, które wierszy drukowanych po piśmie różnych z pewnością czytać nie będą. — **Pytanie.** (P. L.) Takich wierszy nie rzucamy do kosza, przeciwnie odczytujemy je uważnie i poetę zachęcamy do pracy. Myśl świeża, wstrząsająca, forma niezła; będziemy chcieli, całość jaknajprędzej wydrukować. Dalej! — **Pannie. Hani** Wolelibyśmy gałązkę sosny lub dębu ofiarowaną jakiemuś panu Wojciechowi niż gałązkę konwalii z ręki śpiewaka Forlani'ego, w którym p. Hanna na zabój się zakochała. Autorce tej sentymentalno-teatralnej nowelki za jedno jesteśmy wdzięczni, że signor Forlani zaziębł się po jakimś koncercie czy hulance i umarł sobie — więc nie zabral nam pięknej Zosi, która wytrzeźwiwszy się po aktorze została żoną p. Zygmunta B., hreczkosiaja porządnego. Hanie i Zosie wypuśćcie ze swego serca tenorów, jeśli chcecie aby ono nie zostało szpitalem odczarowań.

Przewodnik.

Wystawa konkursowa. W październiku r. b. urządzona będzie przez Towarzystwo Z. S. P. w Królestwie Polskim, doroczna Wystawa konkursowa *Sztuki Ornamentacyjnej i Reprodukcyjnej* a mianowicie: miniatur, emalii, malowania na szkło, porcelanie i fajansie, sztychów, akwafort, drzeworytów, litografij i wszelkich reprodukcij ręcznych, niemniej wszelkiego rodzaju ornamentacyj.

się w kancelaryi Towarzystwa. — „**Dykcyonarz roślinny**” ks. Kluka, w 3-eh tomach, edycja z 1811 r., jest w posiadaniu p. Stanisława Seydla, st. Goszcza, gub. Wołyńska. Wiadomość tę komunikujemy p. Wł. W. i innym korespondentom naszym, którzy zgłosili się do nas z zapytaniem, gdzieby mogli nabyć dzieło wspomniane. — **P. Julia K. w Włocławku.** Wartość monet zagranicznych ciągle się zmienia, codzienne ceduły giełdowe różnice te ogłaszają. Dokładne wskazówki znajduje sz. pani codziennie w naszym piśmie pod rubryką „Rolnictwo, przemysł



Ks. Bismarck w parlamencie.

Deklaracje przyjmują się w kancelaryi Towarzystwa do 1 października. Wystawa składać się będzie z trzech oddziałów: Oddział I miniatury, emalie, malowanie na szkło, porcelanie i fajansie. Oddział II sztychy, akwaforty, drzeworyty, litografie i wszelkiego rodzaju ręczne reprodukcje. Oddział III wszelkiego rodzaju ornamentacje. W każdym z powyższych oddziałów może być przyznana jedna nagroda rubli pięćdziesiąt w złocie, za dzieło odznaczające się bezwarunkowo. Oprócz tego będą wydawane listy pochwalne. Bliższe objaśnienia udzielają

giełda”, notujemy w niej zawsze wartość w rublach franków, marek, zł. reńskich i t. p.; lirów włoskich jako monety obojętnej dla giełdy warszawskiej ceduły nie podają. Wartość nominalna lira wł. jest 1 frank, więc po kursie dzisiejszym kop. 44. Za wymianę zwykle kantory pobierają $\frac{1}{2}\%$ $\frac{1}{4}$ $\frac{1}{10}$ — stosownie do wielkości kwoty. Czasem lepiej w kraju zmieniać pieniądze, a czasem lepiej zagranicą, zależy to także od kantoru w którym się zmienia i od kursów giełdowych.

Treść numeru 595 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy. — Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.) — Kobieta (wiersz). — Święta, opowiadanie Arweda Barine'a. — S. p. ks. Zenon Chodyński. — Największa na całym świecie fabryka maszyn przemysłowych i wojennych. — Raptularz tygodniowy. — Ks. Bismarck w parlamencie. — Dziecko kupione, powieść przez autorkę „Lorda Erlistoun” (d. c.) — Listy polityczne. — Życie nasze w jakiej zależności jest od mózgu? — Ze skarbca prawd. — Humorystyka. — Jak sobie radzić. — Rolnictwo, przemysł, giełda. — Gazetka. — Post-scriptum. — Przewodnik. — Rysunki: Maj. (Rysunek F. Brzozowskiego). — Wiosenne żniwo gospośi. (Obraz R. Beema). — Przyleciałeś do mnie, czy do moich kwiatów? (Obraz J. Penalla). — Ks. Bismarck w parlamencie. — Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: *Maurytanka*, arkusz 21.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monety obce, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Мая 1887. — Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek. — Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego:** Chmielna Nr 26.

Z WARSZAWY.

Wystawa higieniczna. — Hygeopol à vol d'oiseau. — Jego zalety higieniczne i gastronomiczne. — Dr Polak i jego zasługi. — Jego najdzielniejsi współpracownicy. — Przyszłe wystawy: nasion, żywych inwentarzy i krakowska. — Szkoła garncarska dla kobiet i nieco o kobietach rzemieślnikach. — S. p. Mikołaj Zyblikiewicz.

Wystawa higieniczna w Warszawie stała się rzeczywistością.

Tuż pod boki miasta, które obyczajem swoim uragać się zdaje najelementarniejszym pojęciom o pielęgnowaniu zdrowia, jakby za uderzeniem laski czarnoksiężki wyrosło nowe miasto, oaza zdrowotności, miasto Hygei—Hygeopol. Nawet w Ameryce, gdzie, jak wiadomo, miasta wyrastają prędzej niż grzyby po deszczu, nie umieją takich cudów robić w przeciągu kilku tygodni.

A jakie to miasto! Zbudowane nietylko według praw higieny, ale według wszelkich prawideł symetrii i estetyki. Przez całą długość przerzyna je główna ulica — Eskulapa, z tą prostopadłe przecinają się, nieopodal od siebie a równolegle idące, ulice Apollina i Zdrojowa, obejmując swemi ramionami piękny basen, olbrzymi kompas, oraz place: Zdrowia i Hygei. Po między ramionami utworzonego w ten sposób krzyża, idą ukosnie, na wskroś całego miasta, ulice Parki i Hypokratesa; a dookoła tego wszystkiego, bramując sobą całe centrum osady, biegnie kolista ulica Hygei, *Ringstrasse* nowego miasta.

W utworzonych w ten sposób rozmaitych miejskich dzielnicach, ciekawy podróżny, za niecałą dwózzłotówkę ujrzeć może tysiączne rzeczy higieniczne: dom higieniczny, szkołę higieniczną, model kanału przyczyniającego się do uhygienicznienia, model filtrów wodociagowych, model browaru higienicznego, nawet higieniczną fontannę. Nie brakuje tu niczego, co naukę higieny poglądowo przedstawić może, ale o tém wszystkim najlepiej przekonać się naocznie; zresztą, nieco później, kto inny to zapewne specjalnie opisać, a opis ten biegły ołówek rysowników biesiadnych przyozdobi wizerunkami ważniejszych gmachów i przedmiotów. Tutaj, zachęcając tylko czytelników naszych do zwiedzenia tego grodu Hygei, możemy ich w końcu zapewnić, że głodna kuracya nie należy do zakresu dzisiejszej higieny, i że dlatego w Hygeopolu pomyślano o posileniu sił żywotnych. Funkcją tę pełnią przedewszystkiem „Tanie kuchnie” warszawskie, osobny pawilon posiadające, oraz inne zakłady na placu Gastronomicznym, nieco na uboczu położone, a sekundowane przez okazały kiosk piwarski, znany już dobrze z wystaw poprzednich.

Prawdziwym twórcą tego całego cudu higienicznego jest, jak wiadomo, doktor Polak. Dziwny to człowiek, dla którego co to niemal nieprawdopodobne zamiary doprowadzają do skutku, podczas gdy u nas najprawdopodobniejsze nawet zwykłe w mgły się rozwiewają. Otóż za urządzenie wystawy higienicznej należy mu się uznanie, ale istną wdzięczność musimy mu za to, iż pokazał a raczej przypomniał nam w praktyce, że można zrobić wszystko, co się zrobić pragnie szczerze i wytrwale. Święci garnków nie lepia — my o tém już zapominać zaczęliśmy. Myśl wystawy higienicznej nie doznała zrazu gorącego przyjęcia; owszem natrafiła na poważną nawet, nietylko obojętność ale opozycją. Nie zraziło to szanownego doktora, obstał przy swoim i bez wielkiego hałasu, bez poruszenia środków nadzwyczajnych, zamiar swój doprowadził do skutku.

Szczerzy, serdeczny poklask mu za to, równie jak tym ludziom, którzy pierwsi, nie oglądając się na nic, przyszli mu w pomoc i wytrwali z nim do końca. Wymieniamy za dr. Szokalskim, prezesem wystawy, dr. Łuczkiwiczem, wiceprezesem, nazwiska „najbardziej zasłużonych”: p. p. Alfons Grotowski, inżynier miejski; Wicenty Rakiewicz, budowniczy — „estetyk wystawy”; Rycerski, wystawca szkoły higienicznej. O innych współdziałających powiemy później ale teraz musimy jeszcze zapisać nazwisko hr. Augustowej Potockiej, która przyjąwszy godność protektorki wystawy, stała się jej gorliwą opiekunką.

Żyjemy w epoce wystawowej. Zaledwie ukończy się higieniczna, otworzy swoje podwoje Muzeum przemysłowo-rolnicze dla wystawy nasion, a jednocześnie z nią odbędzie się odłożona z maja wystawa żywych inwentarzy, połączona z jarmarkiem. Obok tego kuszą i nęcą przemysłowców i rolników naszych odgłosy wystawy krakowskiej, która niby druga syrena (pierwszą naturalnie jest zawsze warszawska) nęci ich ku sobie. Tamtejszy przemysł i rolnictwo brały udział w wystawach naszych, szczupły w prawdzie liczbą, ale doborowy pod względem okazów; chciałoby się więc oddać piękne za nadobne, chciałoby się nawzajem z czémś pochwalić. I słusznie, tej miłości własnej, polegającej na chlubie z należytego prowadzenia swego zawodu, nikomu ganić nie można; owszem, w zajęciach cywilnych jest to rodzaj honoru wojskowego, bez którego niema armii.

Słychać, że i dział sztuk pięknych, którego miano zaniedbać, utrzymany zostanie na programie tej wystawy, z oznaczeniem dość odległego terminu przesylek. A więc i artystom naszym otworzy się pole do współzawodnictwa; walka bodaj czy nie będzie trudniejsza, ale też tryumf tém chlubniejszy. A więc bacność, dziatwo Apollina! Powtarzamy nasze: Święci garnków nie lepia.

Ze sztuką tak blisko dziś graniczą rzemiosła, że przejście od obrazów i rzeźb do garnków nikogo razić nie powinno. Nie od rzeczy więc będzie wspomnieć tutaj, że w Warszawie powstaje szkoła garncarska dla kobiet i przez kobietę prowadzona. Garncarstwo kobiece rzecz nowa ale nie zdrożna bynajmniej; my bo w ogóle jesteśmy tego przekonania, że każdy może robić wszystko, co tylko dobrze zrobić jest w stanie. Toż kobiety we wszystkich niemal narodach i po wszystkie czasy bywały nawet niezłymi żołnierzami, dla czegoż garncarzami byćby nie mogły? Idzie tylko o to, żeby chcieć być czémś na seryo, a przyznajemy się szczerze, że w taką chęć u ogółu niewiast naszych... uwierzyć nam trudno. Była jakiś czas moda na rzemieślnictwo między naszymi paniami; powstawało mnóstwo szkół specjalnych żeńskich, z pośród których mało która do dziś dnia się utrzymała, i które wydały tylko kilka warstatów szewskich pod kierownictwem kobiet, jedną podobno stolarkę, kilka napół poduczonych amateerek rękawicznictwa i introligatorstwa. Oto cały nabytek, jaki naszemu społeczeństwu niewieściemu pozostał po tym prądzie rzemieślniczym, deklamacyami na temat emancypacji kobiety wywołanym.

O garncarstwie dotąd słychać nie było, jest ono w tym kierunku nowością, i jako taka może zrazu będzie popłatnem; trwałe jednak umiłowania przez pleć piękną rokować mu nie śmiemy. Jest to praca, bądźco bądź, dosyć ciężka, a lubo do estetycznych dochodzić może rezultatów, sama w sobie jest wcale nie estetyczną, a tém samém już sprzeczną z naturą niewieścią, której rdzeniem, jądrem—mimo wszelkich zaprzeczeń ze strony heroin tak zwaną emancypacji — jest piękność moralna i fizyczna. Od tej wiary, naszym zdaniem, nie odstąpi nigdy żaden prawdziwy mężczyzna...

* * *

S. p. Mikołaj Zyblikiewicz, z którym miałem szczęście kilka razy w życiu zetknąć się bliżej, robił na każdym wrażenie głębokie swą nadzwyczajną energią; było w nim dużo materiału z którego urabiają się satrapi, ale on satrapą nie był, bo nieugiętość jego szła nie z ambicji ale z miłości kraju, który kochał po Bogu najwięcej, kochał duszą całą, rozrzucającą się na każdą wieść o tém, że idzie dobrze, że promyk pomysłowości gdzieś tam zabłysnął. Urzęda które piastował uważał tylko za środki do działania; to też czując, że niemi władać dalej nie może, powierzył je komu innemu a sam opuścił progi magnackie, zamiast laski marszałkowskiej wziął w rękę laskę mieszczańską i z komnat po książęcemu urządzonych przeniósł się do pokojów skromnych, ciasnych, w klasztornym gmachu, w ulicy zacisznej ale blisko plant krakowskich, które wyżej cenil—jak nam sam mówił — niż wszystkie ogrody, góry i doliny jakie gdziekolwiek widział.

W tych to pokojach b. Marszałek Galicji oddał Bogu ducha, dnia 16 maja.

Do mnóstwa dzieł jego służby publicznej miał także należeć pomnik Mickiewicza, który powierzono mu jednomyślnie; niestety, wieszasz nasz na hold czekać musi aż się znowu znajdzie mąż, co jak b. burmistrz Krakowa będzie umiał pokonywać burzę i dopływać do brzegu.

Ś. p. M. Zyblikiewicz w ciągu życia swego mężnie patrzył każdemu niebezpieczeństwu w oczy, tak samo mężnie spojrział w oczy i śmierci—ani na jedną chwilę jęć się nie uląkł a o przejściu z życia do grobu mówił tak spokojnie, jakby był pewnym, że wkrótce się obudzi i znowu żyć zacznie. Świadomość o śmierci miał zupełną—przygotował się na nią przyjęciem świętych Sakramentów, z rąk kapłana unickiego, ponieważ jako rusin należał do kościoła grecko-katolickiego; wszelkie szczegóły dotyczące pogrzebu, skromnego mająteczku uciulanego adwokacką pracą, miejsca wiecznego spoczynku—sam dysponował.

W tej świadomości nie było ani cienia szyderstwa dla ciała, które w proch się rozsypuje, owszem on szanował tę powłokę w której duch nieśmiertelny przemieszkuję, bo chciał z początku aby zwłoki zabalsamowano, ale wyrzekł się tego gdy mu powiedziano, że koszt wyniosłby ośmset złr. „To zadrogo dla mnie, skrzywdziłbym swoje siostrzenice” — odpowiedział i powłokę cielesną zgodził się powierzyć zniszczeniu. Kraj swoim kosztem życzenie jego spełnił.

Kraków i Galicya cała zabolala nad wielką stratą. Nie trzeba mówić naszym czytelnikom dlaczego żal był taki szczery i głośny — wszak tyle razy w naszym piśmie była mowa o prezydencie Krakowa. Rządził on miastem niby jaki uczeń ze szkoły Kazimierza Wielkiego, który wziął kraj drewnianym a zostawił go następcy swemu murowanym. Wyliczać zasług dzielnego pracownika nie będziemy, kto chce je sprawdzić niech zapyta o nie krakowian, niech przejrzy roczniki rozwoju Galicyi.

Jedną z najpiękniejszych, chociaż żałobnych nagród jest skon w Krakowie; kto nie może spocząć na cmentarzu z którego widać dym ogniska rodzinnego, ten pragnie złożyć głowę w grodzie podwawelskim, o kilka kroków od panteonu mężów nieśmiertelnych, pod opieką legendy i prawdy dziejowej, co skamieniały w potężnych świątyniach, w wyniosłym zamczysku, w kopcach pod wezwaniem bohaterów, w grobach świętych patronów i koronowanych dostojników. Taka nagroda dostać się musiała jednemu z najzasłużeńszych mężów dla sprawy publicznej ś. p. Mikołajowi Zyblikiewiczowi, obywatelowi z żelaznym charakterem, mężną duszą i sercem miłującym tylko prawdę, tylko prawość.

SEP.

HERB NA GIELDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Sprzyjało mu wszystko w tej gonitwie za ideałami życia; harfiarki grały skoczno walczyka a widziane z balkonu willi wyglądały jak rozkoszne amorki z sąjakiem napełnionym strzałami. Wysoki kelner w czarnym fraku był podobny do Ganimeda na uczcie bogów; oczywiście sam Jowisz siedział na balkonie willi i otwierał właśnie rękę, aby sprawić deszcz złoty i za jego pomocą dostać się do serca uroczej sąsiadki.

— Nie uwierzysz pani—mówił do niej—jak mi żal tych biednych ludzi, którzy tam przy stołach piją kawę i piwo szlacheckie. To tłumaczy mi dzisiejszy socjalizm. Gdybym był tym

chudym blondynem, który tam kawałek sera przy piwie zajada, i patrzył na tę willę i widział człowieka tak szczęśliwego jakim ja dziś jestem—pęklbym niezawodnie z zazdrości lub wyciągnął rękę po jego szczęście. Tak samo wyciągają socjaliści rękę po skrzynię żelazne.

— Więc pan jesteś szczęśliwym? — zapytała urocza sąsiadka.

— O, pani... jak możesz w tej chwili o to pytać!

— Cóż pan zaliczasz do szczęścia swego?

Pan Joachim założył nogę na nogę i podniósł ją tak wysoko, że koniec lakierowanego buta dostawał do stołu.

— Najprzód odmaluję pani tło mego szczęścia. Wyobraź sobie precudną okolicę, z widokiem skał i gór po jednej stronie a bałwanami morza po drugiej; oprócz tych bałwanów może być jeszcze idylliczny strumyk w dolinie. Nad strumykiem stoi willa... co mówię—pałac, albo jeszcze lepiej zamek okazały z gotycką wieżą... Liczna służba w czerwonej i złotej liberyi roi się po komnatach i czeka... twoich skinień, o pani!

— Pan mówisz jak we śnie!

— Zaiste, jest to sen tak rozkoszny!

Pan Joachim oparł but swój na stole.

— Sen tak rozkoszny... i zdaje mi się, że się unoszę... że lecę w wyższe pozycje świata, gdzie są miliony...

— Miliony... jakie?

— Milion jest milionem i nie potrzebuje bliższego określenia. Czyś pani widziała milion?

— Czy gwiazd... czy pereł rosy... czy robaczków świętojańskich... czy baniek tęczowych?

Pan Joachim posunął butem po stole.

— O takich głupstwach nie mówię, które każdy biedny człowiek widzi za darmo!

— Myślałam, że w tej chwili jesteś pan poetą?

— Mam w mojej bibliotece Szylera i Getego.

— A tu... co pan masz?

Sąsiadka przyłożyła palec do jego białej kamizelki, pod którą było serce.

Sąsiad pochwycił ten biały paluszek, ucałował go i przycisnął do swojej piersi.

— Tu... szepnął, tu... tu mam obraz pani!

Nastąpiła długa pauza. Piękna kobieta nie cofnęła swojej ręki, przeciwnie pozostawiła ją w zastawie u właściciela firmy: *Geld für Alles!* Spuściła tylko w ziemię czarne, rozmarzone oczy, długimi rzęsami do połowy przykryte. Usta zakwitły jak dwa pączki róż, a po białej twarzy przebiegły pręgi liliowe...

W tej chwili wszedł na balkon listonosz i położył na stole gazetę.

Pan Joachim nie chciał przerywać swego upojenia—ale zebrała go ciekawość, choć raz rzucić okiem na kurs anglobanków...

Nie wypuszczając z ręki białego paluszka, drugą wziął gazetę.

Cóż to?

Jakis tusty telegram!...

W tym telegramie jego nazwisko jeszcze tłuszciesze...

Cóż to znaczy?

Pan Joachim zapyta z gorączką... lakierowany but z angielską podeszwą zsuwa się ze stołu na ziemię...

Było to zemsta wyrzuconego za drzwi dziennikarza.

— Cóż to panu? — pyta z niepokojem sąsiadka.

Pan Joachim nie odpowiada... poczerwieniał... zsiniał i zbladł.

— To okropnie! To było wbrew naszej umowie!

— Cóż się stało?

— Nie pytaj pani, bo jestem zły jak wściekły pies. Mógłbym wszystkich pokąsać... mógłbym bić się, rąbać i strzelać!

Oczy spokojnych konsumentów piwa i kawy zwróciły się na balkon.

XVIII.

Przy stoliku, który stał najbliżej willi siedział człowiek już niemłody, przed nim stała filiżanka z kawą; miał na sobie ubiór podróżny i kapelusz opylony; dobrze szpakowate włosy

ocieniały twarz ogorzałą. Sparł się na sękatą tarniówce i patrzył na balkon pobliskiej willi. Kawa przed nim już dawno wystygła. Do stołu zbliżył się kelner.

— Czy masz przyjaciela?—zapytał jegomość łamaną niemieczyzną.

— Dostałem od lokaja.

Kelner podał gościowi kartę wizytową, gość ją odczytał i krzyknął po polsku:

— Chryste Boże! Tożto pan Józef Strzemię * *

Był to zany pan Jędrzej. Idąc za śladem pana Józefa, przybył aż w to ustronie, aby mu powiedzieć, że Helena nie dlatego pierścionek mu oddała, iż był teraz bez pieniędzy...

I cóż to widzi? Wskazano mu nieznanego człowieka i powiedziano, że to pan Józef!

Nie wierzył... przyniesiono bilet wizytowy.

Pan Jędrzej przeczytał i nie wierzył oczom swoim. Patrzył na nieznanego człowieka, który podszedł się pod zacne nazwisko pana Józefa.

Cóż to znaczy?

Krew zawrzała w żyłach pana Jędrzeja. Widział w tém jakąś malwersacyą... ale nacóżby pan Józef pożyczył temu człowiekowi swego nazwiska? Czy pan Józef byłby tak lekko-myślnym, aby swój klejnot wynająć ludziom do spraw lada-jakich?

Nie, to być nie może! Ten człowiek jest oszustem i przyszedł jakąś intrygą jeżeli nie zbrodnią do zacnego klejnotu!

Trzeba rzecz sprawdzić.

Pan Jędrzej wstał od stołu i puścił się do willi.

Pan Joachim biegał właśnie jak szalony po balkonie. Sąsiadka patrzyła na niego z niepokojem.

— To nieprawda—wołał pan Joachim—to fałsz wierutny! Joachima Rotszylda nikt tam kijem nie obil!

— Dlaczegoż nie?—pytała piękna sąsiadka.

— Nie, nie, nie! To fałsz i kłamstwo... lub podła intryga!

Ale ja zemście się, strasznie się zemście.

— Cóż to pana tak obchodzi? Wszak to pana nie boli?

— Tego by jeszcze potrzeba było!

W téj chwili wszedł pan Jędrzej na balkon.

— Czy pan jesteś Józef Strzemię * *?

— Tak jest... Co może oznaczać ta obcesowa ciekawość?

— Do pewnych ludzi bierze się obcesowo...

— Ruszaj pan sobie, bo zawołam policyi...

— Czy na to, aby wzięła oszusta...

— To zapewne pan jesteś oszustem!

Pan Jędrzej podniósł kij sękaty do góry.

— Zkąd wzięłeś złocono zacne nazwisko mego sąsiada?

— Ruszaj z Panem Bogiem, napastniku!

— Jesteś oszustem i złodziejem! ukradłeś cudze nazwisko!

— Idź precz bo cię uduszę!

Pan Joachim rzucił się jak wściekły na pana Jędrzeja, ale sękaty kij przeszkodził jego zamiarom.

— A złodzieju, a oszucie!—krzyczał pan Jędrzej cały czerwony, okładając kijem nieznanego adwersarza.

Publiczność przypatrywała się téj scenie, aż wreszcie stróż porządku publicznego położył koniec temu dziwnemu pojedynkowi.

Nazajutrz zebrali się jeszcze liczniej konsumenci kawy i piwa, aby o zaszłej sprawie pogawędzić.

Dowiedziano się z niemałym zadziwieniem, że cały ten skandal cichaczem ubito, że pan Joachim sam prosił, aby się władze w to nie wdawały, i że zaraz w nocy willę i ustronie opuścił.

W kilka dni potem doniosły stołeczne dzienniki, że tak zwany Joachim Rotszyld, wekslarz smutnej sławy, znikł bez wieści, zabrawszy z sobą pieniądze swoje i cudze.

(Dokończenie nastąpi.)

KOBIETA.

Krwawy pot z złotem, łzy z śmiechem spłaczę...

Burz błyskawicę z tęczą połączę...

Aż jasne błysnie ognisko —

I jak cud Boży stanie przed oczy

Obraz niewiasty, jasny, uroczy,

Blizkiej przyszłości zjawisko.

Świat pozłacany, świat malowany,

Spłynął i zginął jak lekkie piany —

Noc się już kończy, świt blisko!

Bóg ci dał wielki ciężar na barki:

Bo masz być cichą jak gołąb arki,

I masz być mężną jak lwica; —

I nad kolebką twego dziecięcia,

Masz codziennie szeptać słowa zaklęcia,

Nocą, przy blasku księżycy...

I być wśród burzy jasną pogodą,

Dla słabych siłą, mężnym ochłodą —

Żyjąca uczuć krynica!

Silna, wraz z mężem, na ojców roli,

Stanie do pracy w doli, niedoli,

Nie będąc kulą u nogi.

I nawet znając co głód i bieda,

Ni jednej grudki ziemi nie sprzeda,

Choć złotem chcą płacić wrogi;

Aby jej wnuki błaząc gdzieś w dali,

Miedzy obcymi się nie pytali,

Gdzie grób ich i kraj ich drogi?

Matko! wychowasz olbrzymów plemię,

Co wierząc w Boga, kochając ziemię,

Czcząc ojców mowę i cnoty,

Pójdzie spokojnie — choć nie na wojny,

Ale do pracy, ten zastęp zbrojny

W lemieże, pióra i młoty, —

Pójdzie, postępu dzierząc pochodnie,

Zwalczając przesady, grzechy i zbrodnie,

Aż znikną reszty ciemnoty.

Przyszłość narodu jest w piersi twojej,

Kobieto! ciebie zło się tak boi

Jak archaniołów szatany;

I z gniewem woła: Gdybyż nie ona,

Ta córka, matka, siostra i żona,

Jużbym nałożył kajdany

Na te ramiona i karki twarde —

I lud, co duszę ma taką hardą,

Byłby już w ziemię wdeptany!

Siostro, o ludu pomnij przyszłości —

Trwaj w pracy, w wierze, w wielkiej miłości —

Bądź godną świetnej nagrody.

Bo gdy już znikną niesnaski, zdrady,

Zejdą się ludów bratnie gromady,

By święcić igrzyska zgody —

Kiedy do wspólnej siędą biesiady

Jako tam, niegdyś, za dni Hellady,

K'tobie się zwróca narody,

Mówiąc: Niewiasto, chwała ci, chwała!

Wśród brudu świata, czystą została,

Brutalną siłą nie zgięta; —

Oliwny kładziem ci wian na skronie,

I będziesz chadzać w nim jak w koronie,

Dostojna, mężna i święta!

J. K. S.

ŚWIĘTA.

OPOWIADANIE DZIEJOWE

Arweda Barine'a.

Krajem i epoką w której dawny typ wybranych zajaśniał w całym blasku, była Hiszpania w początkach XVI wieku.

Pobożność dzisiejsza słodka i, że się tak wyrażę, mdła nieco, nieznaną była ziomkom don Kiszota. Biografie ówczesne przedstawiają nam cały zastęp niepospolitych postaci, śmiałych

i bohaterskich, których pamięć do dziś dnia cześć głęboką odbiera. Rozejrzawszy się w życiu św. Teresy, czytelnik uczuje nawet poza obrębem religijnych wyobrażeń, że ubyłoby ze świata to, co podnosiło estetyczną wartość życia i opromieniało je blaskiem poezji i zapалу, że miara powszednia uczuć dzisiejszych nie dorównywała ideałom wieków średnich.

I.

Św. Teresa przyszła na świat w Awili, w 1515 r. Miasto to po dziś dzień zachowało dawną cechę swojej rycerskiej: wspaniałe, olbrzymie obronne mury, wieżycy granitowe, dziewięć bram wjazdowych i katedrę wyniosłą. Okalający miasto łańcuch gór, najeżony szczytami skał niebotycznych, do tej pory broni przystępu grodu, dając siedlisko i leśny przytułek ubogiej i nawpół dzikiej ludności góralskiej. Olbrzymie kamienne łomy, zawałające gościńce, przekształcone w odległej epoce, ręką nieznaną i barbarzyńskich artystów, w potworne kształty zwierzęce, do dziś dnia czatować się zdają na przechodnia, w granitowej nieruchomości swojej. Nad posępnym i dzikim tym krajobrazem ciąży ostry i surowy klimat; zima trwa tam długo a uroki wiosny przemijają szybko.

Mieszkańcy Awili tworzyli wojownicze pokolenie, które przez długie wieki opierało się obcej przemocy. Pewnego razu, gdy cała ludność mekska wyruszyła na wojnę—nieprzyjacieli zjawili się niespodzianie u bram miasta. Wtedy kobiety zeszły się wszystkie na wałach, i wybrały jedną z pomiędzy siebie, Xymenę Blasquez, na dowódcę, odparły zwycięsko napad wroga.

Miasto przez wdzięczność dla dzielnej niewiasty, przyznało Xymenie prawo zasiadania z rajcami i zabierania głosu w publicznych naradach.

Odwaga i duch wojowniczy ludności Awili, zyskały ich siedzibie przydomek „miasta rycerzy”. W późniejszej epoce, gdy maurowie zostali odpędzeni a wojny cywilne ucichły, gdy za rządów Karola V i jego syna, grandowie hiszpańscy gnusili się w spokoju i próżniactwie a uboższe kasty zwróciły się ku przemysłowi, awilanie inne ujęcie znaleźli dla heroicznych instynktów swoich. Pod wpływem religii tełnącej jeszcze dzikością i fanatyzmem ową epoki, miasto zamieniło się na gród świętych, którzy ciała swoje smagali biczem krwawej pokuty i przemocą zdobywali królestwo niebieskie, jak przodkowie ich ostrzem szabli podbijali nieprzyjacielskie zamki. Wtedy miasto otrzymało nowy przydomek: *Avila cantos y santos*, Awila przybytek kamieni i świętych.

Ojciec świętej Teresy, don Alfons Sanchez de Cepeda, posiadał w rzędzie przodków swoich jednego króla Leonu. Matka jej, Beatryxa Davila de Ahumada, pochodziła z najdawniejszej kastylijskiej arystokracji; ród jej tak po mieczu jak po kądzieli zachował całą czystość rasy swojej i nigdy przez wieki całe nie zbierał się z krwią maurytańską. Fakt ten wielkiej doniosłości w Hiszpanii, stawiał go wysoko w opinii narodu. Uprzedzenia do stosunków mieszanych były tak głęboko zakorzenione w umyśle współczesnych, iż brak dowodów w tym względzie dostatecznym był do usunięcia całych rodzin od dostojności dworskich.

Św. Teresa zostawszy karmelitką, gardziła, jak przystało jej stanowi, próżnościami świata. „Wszystcyśmy ulepieni z jednej gliny—zwykła mawiać—a rozprawić nad szlachetnością pochodzenia, to to samo co spierać się, która glina lepsza na cegłę.” W gruncie jednak zachowała ona bezwiednie do końca życia pewną słabość do tej gliny, z której lepią się ludzie szlachetni. Mimowoli wydawała się z tymi czasami; pod habitem zakonnym znać było prawnuczkę królów.

Alfons Cepeda był mężem wysokiego wzrostu i imponującej powierzchowności; rysy twarzy miał szlachetne, charakter poważny i surowy. Wymagał aby wszyscy w domu pilnie przestrzegali przepisów Kościoła i nie znoślił żadnego przekroczenia w tej mierze. Chętny w udzielaniu pomocy biednym i ludzki dla służby, nigdy nie chciał on mieć niewolników, choć wszyscy dokoła posługiwali się całą rzeszą tych nieszczęśliwych, naznaczonych żelaznym piętnem jak bydła domowe. Żył on na ustroniu, czytając wiele a przeważnie dzieła naukowe i asce-

tyczne. Według zwyczaju hiszpańskiego, trzymał żonę i córki swoje ściśle odosobnione od świata; pozwalał jednakże kobietom kształcić się w pewnej mierze, co podówczas było rzadkością wielką i niemal odstępem od utartych tradycyą zwyczajów.

Jedno z ostatnich zgromadzeń założonych później przez św. Teresę o mało nie rozproszyło się z tej przyczyny, że w liczbie dziewięciu postulantek, z znakomitych rodzin, zaledwie jedna jako tako czytać umiała.

Biografia współczesna ukazuje nam don Alfonsa spędzającego długie godziny w obszernej bibliotece, w której autorowie łacińscy, ojcowie Kościoła, poemata religijne przeważnie zajmują miejsce. Na półkach narożnych, skromnie usunięte na bok, leżą pod grubą warstwą pyłu rycerskie romanse i *canzóny* minstreliów. Poważny umysł potomka rycerzy lubiał obcować z wielkimi duchami zmarłych pokoleń, lecz gardził on głęboko dziełami wyobraźni.

Dokoła domu rozciągały się obszerne ogrody pełne cienia, które zielonością swoją obejmując go zewsząd, głuszyły ruch i gwar zewnętrznego świata. Cicho też i posępnie w rozległych tych komnatach, dokąd nie zalatywały wesole dziecięce głosy. Zagłębiony w skórzanym fotelu, pan domu czyta; ma on butną postawę i dumne a szlachetne spojrzenie starych kastylianów, których malarze hiszpańscy przedstawiają na portretach odzianych w ciemne faldziste szaty i szeroką karbowaną fryzę. Ciała ich szczupłe i muskularne — oczy czarne, ogniste — duch silny i hartowny jak stal; tworzą oni typ odrębny ludzi bardzo łagodnych lub srogich aż do okrucieństwa, w miarę jak do duszy nie przemawiają uczucia religijne, honoru lub wiernopoddaństwa.

Od czasu do czasu, don Alfons woła do siebie któreś z dzieci, wręcza mu dzieło wybrane między autorami poważnymi, każe sobie zdawać sprawę z poprzedniego czytania, objaśnia i prostuje mylne pojęcia, wreszcie uśmiecha się z naiwnych spostrzeżeń małego Antosia, przyszłego zakonnika, lub z dowcipów roztrzępanego Piotrusia, który tyle kłopotów przyczynić miał kiedyś rodzinie.

Ta wyniosła postać, pełna godności i imponującego chłodu, nieskalana pod względem prawości i czystości obyczajów — ten mąż nieugięty, lecz z którego ust nigdy nie wyszło słowo przekleństwa lub obmowy, stworzony był jakby umyślnie na głowę licznego rodu złożonego z dwanaściorga dzieci, z których każde odznaczało się hardym i niezależnym charakterem.

Beatryx de Ahumada, druga, żona don Alfonsa, a matka św. Teresy, była idealną postacią, która promiennym wdziękiem swym niewieścim rozjaśniała posępną a pańską rezydencję Cepedów. Zaślubiona w 15-ym roku życia, zmarła z wycieńczenia w samym kwiecie wieku, mając zaledwie lat 33. Jak promień słońca przedwcześnie zgasły, przemknęła ona przez życie, wnosząc w poważne koło rodzinne obcy mu żywioł młodości i powabu. Piękna i łagodna, pełna przytem skromności i niezrównanej słodyczy, miała serce czule i kochające, wyobraźnią żywą, umysł wykształcony, zdobny we wszystkie zalety i uroki. Wątłego będąc zdrowia, zmuszoną była cały zarząd domowy zdać w ręce pasierbicy; młodziuchna jeszcze i w pełnym rozkwicie piękności swojej, odsunęła się zupełnie od świata i przybrała poważny strój hiszpańskiej matrony. Skazana na bezczynność, prowadziła w klasztornej niemal odosobnieniu tryb życia poważny i surowy. Pokój w którym cierpienie obrało sobie stałe siedlisko, a nad którym śmierć zawisła czarną groźbą, stanowił jednakże dla chorąj świat zaczarowany, pełen uroczych i promiennych widziadeł ducha. Przykuta do łóża powolnym a nurtującym organizm cierpieniem, przeciw której sztuka lekarska okazała się bezsilną, żyła w świecie wyobraźni raczej niż rzeczywistości. Czytywała wszystkie rycerskie romanse z biblioteki, których nie dotknęła nigdy surowa dłoń don Alfonsa; wszystkie tomy poezji, uznanych przez niego za szkodliwe i niebezpieczne, bo zawierały opis bohaterskich szaleństw i namiętnych uczuć jego przodków — mistyczny kwiat ich ducha i ognistą lawę rycerskiej fantazyi. Wszystkie postacie wpół bohaterskie, wpół idealne, wyjęte z ksiązek lub zrodzone w umyśle tej kobiety, zaludniały samotność jej więzionej celi, przenosząc ją w świat poetycznych złudzeń, w którym

Bóg, wróżki, czarnoksiężnicy spieszyli na pomoc dzielnym rycerzom i cnotliwym a prześladowanym niewiastom.

Beatryx częstokroć udzielała tajemnie dzieciom swym książek, które czytały z gorączkowym zajęciem. Pod wpływem dwóch sprzecznych kierunków, dusza ich młodociana zapalała się płomieniem namiętnych uczuć. Po surowym i dumnym ojcu, odziedziczyły one hart nieugiętej woli i samowolę odrzucającą wszelkie pęta; z uśmiechniętych ust pięknej, młodej a nerwowej matki, zaczerpnęły ducha poezji, który skrzydlaty, olśniewający i fantastyczny, urokiem swoim opromienił im twarde koleje i obowiązki dalszego życia.

Wszyscy synowie don Alfonsa, z wyjątkiem piątego z rzędu, Antoniego, który został zakonnikiem, zaciągnęli się do woj-ska i odpłynęli do Ameryki, która stanowiła podówczas dla hiszpanów wpół bajeczną krainę, gdzie rozgrywały się na jawie turnieje wyjęte z romansów średniowiecznych. Umysły chciwe przygód szukały tam pola popisu dla energii swojej; wykolejone istoty z zapalem rzucały się w wir niebezpieczeństw.

Zetknięcie z Ameryką, tym krajem cudów i złota, tłumaczy niesłychane powodzenie, jakim literatura lekka, powieściowa cieszyła się w Hiszpanii, gdzie nawet umysły poważne szukały w niej rozrywki. Karol V-ty wydawał prawa przeciw romansom rycerskim, które obalamowały młode i niewytrawne umysły, a sam w skrytości czytywał je chciwie. Za czasów Filipa II-go kortezi prosili króla, aby publicznie spalić kazał na stosie wszystkie utwory tego rodzaju; lecz prąd wiał zbyt silnie aby go powstrzymać można było nawet tak gwałtownymi środkami. Źródło popędu tego wypływało z samej historii kraju.

Lud, który słuchał opowiadań towarzyszy Korteza i Piz-zara, znajdował naturalną i prawdopodobną każdą bajeczną przygodę. Żywił zaś nadzwyczajność, którym posługiwali się powieściopisarze, nie potrzebował on szukać aż poza morzami w nowym nieznanym świecie: miał go dokoła siebie, nurzał się niemal w nadprzyrodzonej jego atmosferze. Święci, których liczne zastępy wzrastały na rodzinnej jego ziemi, jak bujne zło-ciste kłosa porastające żyzną ojczyzną glebę, wprowadzali go w nadziemską, cudowną sferę uczuć i czynów. Bujna wyobraźnia ludowa przestała w końcu odróżniać przyrodzony stan rzeczy od nadprzyrodzonego — niezrozumiałe od nadzwyczajnego — czarnoksiężników od świętych.

Dzieci don Alfonsa w czyn wprowadziły marzenia młodoc-ści swojej. Synowie w późniejszych latach odznaczyli się zu-chwalstwem i odwagą: Ferdynand wziął czynny udział w pod-biciu Peruwii i w nagrodę za waleczność swoją otrzymał znaczne posiadłości w tym kraju, Rodryg poległ w bitwie nad brzegami Rio de la Plata, Piotr walczył jak lew, Augustyn stoczył siedm-naście zwycięskich bitew. Wszyscy inni byli mężnymi żołnie-rzami, dobrymi chrześcianami i prawymi ludźmi. Co do córek: Marya i Joanna poprzestały na skromnym stanowisku i cichych zasługach zacnych żon i cnotliwych matek; jedna tylko Teresa okryła się sławą, wyrównującą jej pokorze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Ś. p. ksiądz Zenon Chodyński.

Są gniazda rodzinne, o których można powiedzieć, że Opatrzność usłała je aby światłość z ziemi nie zginęła; do ta-kich gniazd wybranych należało to, z którego pochodził ś. p. ks. Zenon Chodyński. Wyszło z niego trzech braci: Zenon, Stanisław i Adam, i wszyscy poświęcili się światłu, co z Kościoła i uczonej książki wypływa. Dwaj starsi—Zenon i Stanisław—przywdziali suknie duchowne, trzeci, Adam, poświęcił się praw-nictwu ale więcej godzin przepędził nad starymi dokumentami, z których wysnuwał i wysnuwa historią ziemi Kaliskiej.

Ś. p. ks. Zenon zajmował w hierarchii kościelnej stanowi-ska prałata, kustosa, sędziego konsystorza i administratora parafii; na każdym z nich położył liczne zasługi, ale najcenniej-szą pracą jego było wychowywanie młodzieży, której był pro-fesorem w seminaryum wrocławskim, a od r. 1874 regensem. Niejeden z b. alumnów a dzisiejszych kapłanów zawdzięcza ś. p. ks. Zenonowi cnoty obywatelskie, gorliwość w służbie, za-miłowanie nauki, bo chociaż seminaryum jest szkołą mądrości i cnoty, jednak tylko umysły wyższe potrafią w te mury zamkniete wprowadzać wieści ze świata tak, aby one nie zbunto-wały młodego umysłu a jednak obeznały go z tém, co alumna czeka po wyjściu z seminaryum na swoje.

Kto chce ten dużo może; ś. p. ks. Zenon chciał poświęcić życie swoje dla dobra społeczeństwa, to też pomimo że pełnił liczne obowiązki skrupulatnie, miał jeszcze czas na prace lite-rackie, na szperanie w starych papierach, wyszukiwanych po plebaniach i bibliotekach. Bracia Chodyńscy dbali o historią zakątka kaliskiego, który jest ich kolebką; nie prowincjonalizm to ale poczucie obowiązku względem ziemi, która jest częścią wielkiej całości, ale przekonanie, że kto chce zrobić za dużo, ten zwykle nic nie robi.

Kiedy dobry pasterz nam ubywa, to zapisujemy w ra-chunkach naszych stratę wielką, a cóż dopiero jeśli ten pasterz był zarazem mężem wyższego umysłu, obywatelem odważnego serca. Żałujemy ś. p. ks. Zenona głębią serca, czcimy z pod-daniem się woli Boga.

Uczeń.

Największa na całym świecie fabryka maszyn

PRZEMYSŁOWYCH I WOJENNYCH.

Niedawno podaliśmy w Biesiadzie fakt oburzającej nie-tolerancji, jakiej się dopuścili dyrektorowie w fabryce Kruppa, wydalać robotnika za to, że miał chleb obwiniony w niemiecką gazetę katolicką, popierającą aspiracye centrum—za to jedno. Znęcanie się takie możnaby było uwzględnić w jakim małym warstacie, którego mistrzem jest nieukształcony, fanatyczny majster, czerpiący światło z kufła i kieliszka, ale w wielkiej fabryce, na czele której stoją znakomici specjaliści, intelligen-cya pierwszorzędna — to zadziwia, oburza i sztycherzo wzruszać każe ramionami nad dobrodziejstwami postępu!

Przykład wandalizmu, jaki dała fabryka Kruppa, najlepiej przekonywa, jak system niewolnictwa owładnął w Prusach umy-słami nawet wybranymi, jak cały naród przejął się żołnierskim regulaminem, który każe bez pytania o rację zabijać, niszczyć, prześladować; przekonywa jak upadła ludzkość, jak wygasły wszelkie aspiracye szlachetniejsze w tém gnieździe krzyżackim, w którym potrafią tylko kuć doskonale kajdany i szlifować obosieczne miecze.

A jednak fabryka Kruppa wzbudza istotnie podziw swym ogromem i urządzeniem; nie ludzie w niej pracują ale cyklopy, nie idzie tam o życie robotnika ale o trwałość armaty lub pan-cernika; wartość człowieka ceni się w niej wartością wojennego towaru. O duchowości tam mowy być nie może, gdzie w gabinetach ślęczą inżynierowie i chemicy nad tém jedynie, jak środki mordercze ulepszyć. Wstąpmy na chwilę do tego piekła żelaznego a pomimo oburzenia i wstrętu podziwiać będziemy musieli tę potęgę pracy i tę karność, która tworzy armią robotników—armią straszną, pracującą dzień i noc na postrach ludzkości.

Pierwszą hamernią żelaza założył w Essen Fryderyk Krupp w r. 1810, ale dziesięcioletni proces, lubo w końcu wy-grany, zniszczył go i obciążył długami. Po jego śmierci w ro-ku 1826, prowadziła fabrykę dalej pozostała po nim wdowa, ale także z niewielkim powodzeniem, bo kiedy syn, Alfred, objął zakład w r. 1848, zastał w nim, wedle własnych słów je-go — „trzech robotników i więcej długów niż majątku”. Ten to Alfred jest do dziś dnia żyjącym Kruppem, liczącym lat 74, tym samym, który fabrykę esseńską do olbrzymich rozwinął

rozmiarów. Zakłady te nie należą ani do żadnego stowarzyszenia, ani do rządu, stanowią one własność jednego człowieka, który tym sposobem jest posiadaczem największej na całym świecie fabryki żelaza.

Zakłady te zajmują 500 akrów przestrzeni, której położa pod budynkami. W r. 1881 liczba robotników w fabryce Kruppa wynosiła 19,605, a liczba członków ich rodzin 45,776, czyli razem 65,381 osób żyjących z zarobku w jednej fabryce. Z tych robotników 11,211 zajętych było w zakładach esseńskich, reszta w okolicznych kopalniach węgla, w filiach fabryki, wreszcie w kopalniach w Hiszpanii, które, lubo małe na rozmiar, najlepsze dają żelazo. W Niemczech posiada Krupp 547 kopalń żelaza, ma cztery własne parowce na morzu, a z jego zakładów wychodzi 42 mile kolei żelaznej, do której należy 28 lokomotyw, 883 wagonów, 69 koni, 191 wozów i 40 mil drutów telegraficznych z 35 stacyami i 35 aparatami. Fabryka posiada wielkie laboratorium chemiczne, zakład fotograficzny i litograficzny, drukarnię z trzema parowcami i sześcioma ręcznymi prasami, oraz introligatornię, wreszcie wybornie urządzonego hotel.

Na głównej drodze wiodącej do fabryki Kruppa, umieszczone jest następujące, wielkimi literami wypisane ostrzeżenie: „Dla uniknięcia obustronnych nieprzyjemności, uprasza się najuprzejmiej nie żądać pozwolenia na zwiedzenie fabryki, gdyż takowe udzielonem być nie może.”

Za przyczynę tego utrudnienia, podają niektórzy chęć utrzymania w tajemnicy pewnych sekretów fabrycznych; tymczasem tak nie jest. Gdyby chciano coś ukryć, nie pokazywanoby zwiedzającemu pewnych części zakładu, czego nie byłby w stanie spostrzedz wśród olbrzymiego labiryntu zabudowań fabrycznych; prawdziwy powód stanowi to, że fabrykacja tego rodzaju wymaga jaknajwiększej dokładności. Obliczenia przy robocie odbywają się tutaj na najsubstelniejsze części miary i wagi, na tysiączne cala albo grana; umysł, ręka i maszyna pracują tutaj wspólnie, przerwa w robocie mogłaby stać się powodem omyłki, ciężarnej w fatalne następstwa.

W zakładach Kruppa esseńskich, wszystkie piekła wymarzone przez poetów utworzyły jedną, straszliwą otchłań. Ze wszech stron tryskają ogniste Flegemony; Gehenna, parskając popiołem i iskrami, bucha nieznośnym żarem, a sam Dante musiałby zmrużyć oczy na widok płomienistych mórz tego Tartaru. Oto olbrzymi, ognisty wąż wiję się z sykiem: to tylko pięćdziesiąt stóp do czerwoności rozpalonego żelaza szynowego; patrząc na to mimowolnie rad, widząc jak temu wężowi łeb ucinają i kręte jego cielsko rąbią na sztaby.

Chrzęst maszyn jest przeraźliwy; tu oto walec piętnaście stóp długi, z pod którego stal wychodzi na stopę grubą, ale tamten drugi tak jęj dogodzi, że ukaże się z pod niego niby papier jedwabny cienka i lekka.

Przy walcowaniu płyt żelaznych, żuzle z powierzchni usuwają się zapomocą kilkakrotnego posypywania piaskiem; piasek ten miażdżą walce ze straszliwym trzaskiem, poczem znów stal wysuwa się niby olbrzymi, okropnie syczący język czerwony.

Każda rzecz tutaj zdaje się żyć, a rozżarzone masy stali niekiedy wściekle walczą ze swymi czarnymi mistrzami.

Piec do stali Bessemera sam w sobie jest już rzeczą olbrzymią. W halli tak wielkiej jak największa szopa kolejowa znajduje się szesnaście tych potworów, które prawie wszystkie razem pluja z paszczy swoich gazem i płomieniami ku czarnemu pułapowi. Człowiek słupieje patrząc na taki piec do stali Bessemera; stopione żelazo, które w brzuchu jego wre i kipi, ma się w nim na stal przemienić; w pewnym momencie, stanowiącym środek między surowicą a żelazem kutem, trzeba tę syczącą masę żaru powstrzymać.

Jest to dotąd archeologiczna zagadka, jak sobie poczynali ludy starożytne, ażeby wyrobić takie sztuki żelaza kutego, jak np. słup żelazny w Delhi, albo starsza jeszcze od niego sztuka, znaleziona w jednej z piramid, a dziś znajdująca się w Muzeum Brytańskim.

Ale żelazo kute jest do wielu celów zanadto podatne i giętkie; właściwy moment, w którym żelazo w stal się przemienia, zwiastuje barwa ognia, który piec z siebie wydycha; chwila owa wymaga bystrzej, cierpliwiej, ledwie, że nie powiemy artystycznej baczności. Oczy patrzącego muszą posiadać pe-

wien instynktowy dar spostrzegawczy do odróżniania barw w dzień pochmurny lub przy zmroku. Gdy gotujące się w piecu żelazo bardzo jest nieczyste, wskazuje to biały dym, mieszający się ze strzelającymi iskrami; gdy żelazo jest dobre, normalny proces tak się odbywa: najprzód gwałtowny wybuch iskier, w cztery albo pięć minut potem silny płomień, w dwie minuty potem płomień ten przemienia się w łagodne światło księżycowe, które zaostrza się później w olśniewający blask słoneczny.

Koniec procesu zwiastuje płomień prześlicznej barwy fioletowo-niebieskiej.

Płynne żelazo przejmuje strumień powietrza, żuzel w postaci baniek odszumowuje się i wyrzuca, nie zabierając jednak wszystkiego węgla i krzemionki, które do kwiatu stali są potrzebne. Stal, w godzinę po utworzeniu się, może iść pod walec.

Stal robiona metodą Martina-Siemensa jest bez wątpienia bardzo dobra, ale robiona w tyglach jest zawsze najlepsza, lubo o wiele kosztowniejsza, jak zwykle ręczna robota kosztowniejszą jest od maszynowej. Anglicy, jedyny prawie naród, który przy wyrobie dział zważa na koszt, potrzebują tyle płyt stalowych dla swoich okrętów, że przez oszczędność używają stali Siemens, ale Krupp używa tylko stali tyglowej, która zapomocą metod ulepszonych w jego fabryce otrzymuje 80,000 funtów siły prężliwości na jeden cal kwadratowy.

Niestety, ten sposób wyrabiania stali wymaga nietylko wielkich nakładów pieniężnych ale i ofiar z życia ludzkiego. Wyrobiecie 1800 albo i więcej tyglów grafitowych dziennie (gdyż większa ich część raz zaledwie może być użytą), to robota mordercza; ludzie nią zajęci umierają zwykle prędko. Muszą oni ciągle oddychać grubym pyłem grafitowym, który w płucach sprawia zapalenie albo je zapycha i zwolna trawi siły żywotne.

W izbach, w których się te tygle wyrabiają—mówi świadek naoczny—widziałem czarną masę urobioną z grafitu z gliną garncarską, płynącą na siedm do ośmiu cali grubo, z której końca blady, napół nagi chłopak odcinał po kawałku, mniej więcej ośm cali szerokim. Ważył każdy kawałek a rzadko kiedy potrzebował coś dodać lub ująć.

Drugi robotnik, starszy i jeszcze bledszy od chłopaka i równie jak on napół nagi—gdyż gorąco w izbie było straszliwe—brał tę miękką masę, kładł ją w formę i urabiał z niej naczynie, mniej więcej ośmnaście cali wysokie.

Garnki te jeden koło drugiego ustawiano na podstawie, na której je wsuwano w piec piekarski; piec napelniony tyśmiacami tych naczyń, podobny był do sklepu grobowego z urnami, zawierającymi w sobie popioły dorosłych mężczyzn i chłopców.

Tygle te przy użyciu zostają napelnione małymi sztabkami kruszcza, do którego wrzucają kilka okruchów marmuru, pochodzącego z Vilmar nad Lahnem. Następnie tygle na szuflach wsuwają się w wielkie piece, których podłoga wzniesiona jest na trzy do czterech stóp ponad ziemią, gdzie leżą flaszki przeznaczone na przyjęcie stopionego kruszcza. W glinianej podłodze obszerniej izby znajdują się dwa szeregi zagłębień, z których jeden przeznaczony jest na przyjęcie kruszcza, drugi na pomieszczenie rozżarzonych tyglów po ich wypróżnieniu. Widok wypróżniających się tyglów był zadziwiający.

Podmajstrzy (*Werkführer*) stał w pośrodku izby i od czasu do czasu wydawał pewien okrzyk; okrzyk ten powtarzało przeszło pięćuset ludzi. W jednej chwili otwierały się wszystkie drzwi od pieców, a czarna armia robotników chwytając długimi cęgami rozżarzone tygle i wypróżniała je z dziwną szybkością w zagłębienia.

Nie mogłem wyjść z podziwienia jak ci robotnicy taki żar znieść mogą i spodziewałem się, że będą używali mokrych gąbek i czarnych okularów. Mój przewodnik powiedział mi, że jeszcze przed dwudziestoma laty ludzie ci używali za każdym razem rozmaitych prezerwatyw a jednak jak szaleni z przed ognistych otworów uciekali, teraz atoli przyzwyczaili się do piekielnego gorąca.

Dopiero po kilkakrotném usiłowaniu zdołałem spojrzeć w żarzące się strumienie, które wrzały na cztery stopy głęboko pod nami i wydychały straszliwe gorąco.



WIOSENNE ŻNIWO GOSPOSI.

Obraz R. Beema.

D-r W. za posiadłość podziękował i żadnego innego daru nie przyjął; zwyciężył i na tém polu swego przeciwnika ks. Bismarka, który każdy prezent co się da spieniężyć przyjmuje dla siebie od przyjaciół, a bukiety i sonety żonie na dzień dobry odsyła. Teraz chcąc urzeczywistnić najgorętsze życzenia dzielnego przywódcy centrum, który oddawna pragnie widzieć drugi kościół katolicki w Hanowerze, gazety niemieckie zachęcają do składek na ten cel a lud katolicki już znosi srebrniki. Czy się kanclerz zawstydził? Nie.

Równie idealnym darem uczyli dra W. — słowa naszego korespondenta — polki poznańskie. Jest to ołtarzyk przenośny, zrobiony na wzór tryptyku w kościele Panny Maryi w Krakowie. Środek ołtarza zajmuje wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej, boczne skrzydła wizerunki Ś-go Stanisława i Ś-go Wojciecha. Anioł strzeże relikwii Ś-go Stanisława, a tarcza herbowa i napis łaciński mówią komu i z jakich powodów ten cenny dar ofiarowano. Sędziwy obrońca katolicyzmu i przyjaciel polaków z radością przyjął religijną pamiątkę, a dziękując za nią, znalazł w sercu swém myśli tak szczere i tak sympatyczne dla nas, że tylko mowa niemiecka przypominała deputacy, że do nich cudzoziemiec przemawia. D-r W. wznosił toast na cześć matek i dzieci polskich; im to zawdzięcza dar, który przypominać mu będzie, że obrona społeczeństwa polskiego jest jego obowiązkiem a zarazem zaszczytem.

Komu będzie zamało szularki na torze wyścigów warszawskich, przy totalizatorze, ten może się poprawić w uroczém Spaa, które aby powstać z upadku znowu otwiera dom gry. Tę pomoc oplakaną proteguje dziennikarstwo, przekupione przez dzierżawców szulerni, publiczność zaś i rząd milcząc zezwala. I to owa kwitnąca, bogata Belgia, stawiana narodom za wzór pracy i pomyślności, ucieka się dla podreperowania swych finansów do takich środków poniżających obyczaje. Oplakana pomyślność, biedna Belgia! Mamy nadzieję, że nie będzie sposobności zawołać: biedny Ciechocinek!, chociaż spekulanci o szulerni w naszych solankach ciągle myślą.

MIECZ i DYPLMACYA. Francuzi zawzięcie pracują „pour le roi de Prusse”. Rząd dostanie się w ręce żywiołom anarchicznym albo ludziom przykrawającym się do każdej okoliczności a głównie do rękawicy Bismarkowskiej. Klótnie, podejścia, obelgi, pomawiania o zdradę, niskie ambicje kalają sumienie obywatelskie i w strzępy zamieniają sztandar rzeczypospolitej. Jedni chcą utrzymać Boulanger’a, inni chcą go poświęcić dla zażegnania niechęci pruskich; na nieszczęście Francyi, przy ministrze wojny stoją awanturnicy nie zaś ci, co umieliby z talentów zdolnego i energicznego jenerała wyciągnąć najwięcej korzyści dla kraju, bez narażenia się na ryzyko wojenne. Kanclerz niemiecki musi być w wybornym humorze.

Ojciec Ś-ty podziękował listownie prezydentowi Grévy za dary jubileuszowe. Nowy nuncyusz msgr. Rotelli starać się będzie aby dobre stosunki Stolicy Apostolskiej z Francją, przez nią zapoczątkowane, utrwalić. Praca to niezmiernie trudna wobec żywiołów anarchicznych i rządu, który się zmienia co parę tygodni; ale w końcu naród przekona się, że znalazł osłabienie w tém, czém się myślał wzmocnić — w prześladowaniu Kościoła.

D-r Scheibler, który *melinit* francuzki uznał za surogat przydatny tylko na cukier ale nie do rozsadzania fortec, został skompromitowany. Chemicy francuzcy dowiedli mu, że na melinie wcale się nie poznał a tylko potępił go na rozkaz władzy wojskowej pruskiej. Rząd rzeczypospolitej melinitu, na który wydał przeszło 50,000,000 fr., wcale nie myśli zniszczyć, jak to mu uczony niemiecki doradzał. — Obrońcom melinitu odpowiedział już nie d-r Scheibler ale *Reichsanzeiger*, ogłosiwszy zatwierdzenie rozszerzenia fortyfikacyj Metzu, Strasburga i Poznania; oraz *Nord. allg. Ztg.*, zapowiadając położenie kamienia węgielnego pod kanał mający połączyć morze Północne z Bałtykiem. Kanał ten to nowy trakt dla floty; bez przewagi na morzu Niemcy jeszcze muszą w wielu razach ustępować.

Wystawa paryzka w r. 1889 nie może liczyć na powodzenie bez spółudziału przemysłu wszechświatowego; spółudział pozostawiony prywatnej inicjatywie, bez poparcia państwowego, jest

bardzo wątłą rośliną. Wiadome są już odmowy rządów Austrii, Niemiec, Anglii, Włoch i Belgii; zapewne i inne państwa to samo powtórzą, szczególnie teraz po dokonanych wyborach na członków do paryzkiej rady municypalnej. Wybrano większą część komunistów czyli nafciarzy — Paryż znajdzie się pod terroryzmem przywódców anarchii. Tacy gospodarze do złożenia sobie wizyty nikogo zachęcić nie mogą.

Opamiętanie. Klub czeski zabrał się do oczyszczenia siebie z żywiołów przewrotnych. Widząc do czego dążą organa partii młodoczechów, potępił w publicznym głosie tendencje „Narodnich listów” i pokrewnych im dzienników, nazywając je odstępcami. Taki krok energiczny opamiętał obalamuconych posłów, wielu z nich wyrzekło się narzuconych im przekonań i prosiło o pozostanie w klubie, któremu przewodniczy d-r Rieger. Ostracyzm stanowczy dotknął d-ra Gregra, który zdolności swych jako pisarz i mówca używał na to, aby zaprzedać kraj obcym bogom.

Pół pięta miliona konserw mięsnych, zamówionych w Chicago przez intendenturę francuzką, chowanie skarbów należących do Rotszylda i innych bankierów paryzkich, wypróbowanie pogotowia wojennego przez uruchomienie jednego korpusu, widowiska teatralne dawane w obozie a podburzające żołnierzy przeciw wrogowi, ciągle drukowanie mapek z pograniczem niemieckim, powiększenie liczby lekarzy i felczerów wojskowych, wstrzymanie prawie wszystkich robót na placu wystawowym i nowa Marsylianka, w której podstawiwszy *niemca* zamiast *wroga* nie zmieni się ani kadencya ani esencya; a ze strony niemieckiej coraz częstsze i coraz dłuższe konferencje Bismarka z cesarzem, zapowiedź uruchomienia kilku korpusów w prowincjach zabranych i prawa o ściąganiu szpiegów — oto jaskółki wojenne, które zeszłego tygodnia zjawily się w polityce.

Ks. Bismark w Parlamencie.

O temperamentie Bismarka już tyle napisano prawdy i anegdot, że trzeba wciąż się powtarzać lub coś nadzwyczajnego wymyśleć. Świat cały wie jak książę wygląda, ile ma włosów na głowie a ile fajek w fajczarni, czém karmi swoje wróble i swego psa przyjaciela, jakim jest ojcem, mężem, rachmistrzem, urzędnikiem a przede wszystkim jakim jest przyjacielem.

Mając mnóstwo danych, fizyonomista radby je sprawdzić w rysach twarzy kanclerza, rysach grubo wyciosanych, indywidualnie bismarkowskich. Ale fizyonomista patrząc na portret, który w dzisiejszym numerze dajemy, przyszedłby do wniosku, że i fizyonomia może kłamać przymiotom i wadom duszy, jak język może kłamać myśli. Ta głowa ogromna, łysa, okrągła, osadzona na karku grubym, który znowu za podstawę dobrał sobie tułów ciężki, rozrosły niby pień dębowy, znamionuje człowieka silnej woli, żołnierza odważnego, pracownika niestrudzonego ale nie w niej nie zdradza owęj lisięj dyplomacyi, jaką kanclerz genialnie praktykuje a którą tak łatwo wyczytać na chytręj twarzy starego Fryca, nieśmiertelnionęj w portretach i rzeźbach, a najdosadniej scharakteryzowanąj w posagu wznoszącym się u bramy Malbarga. Zdawałoby się, że ten mąż hartowny jak potrafi zgnieść nieprzyjaciela, tak samo potrafi dać się posiekać za przyjaciela; zdawałoby się, że na tej surowej twarzy nigdy się nie zjawia jowialny uśmiech a na ustach nigdy żart pocziwy; tymczasem wiadomo, że przyjaźń jako uczucie idealne nie ma wartości żadnej dla Bismarka, że najserdeczniejszych przyjaciół zdradzi, sprzeda, rozgromi jeśli mu staną w drodze; wiadomo, że jest nieraz w gronie rodzinném wesół jak bursz doskonały a dla swoich rodzonych to pocziwosz z kośćmi.

Ktoby się domyślił patrząc na ten ołówek niezwykle długi, który książę trzyma w ręku, że potrafi nim podpisywać dekreta śmierci dla całych społeczeństw i równocześnie kreślić humorystyczne karykatury lub pisać jowialne dowcipy; ktoby się domyślił, że ten człowiek hardy, przypominający postacie starożytnych germanów, którzy wywijali toporem jak piórkiem, potrafi się giąć w pałąk i udawać dobrodusznego mieszczucha.